

ASD.

ŻYD.

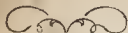
OBRAZY WSPÓŁCZESNE

przez

B. Bolesławitę.

All is true.

TOM PIÉRSZY.



POZNAŃ.

NAKLADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1866.

Krasz-594

I

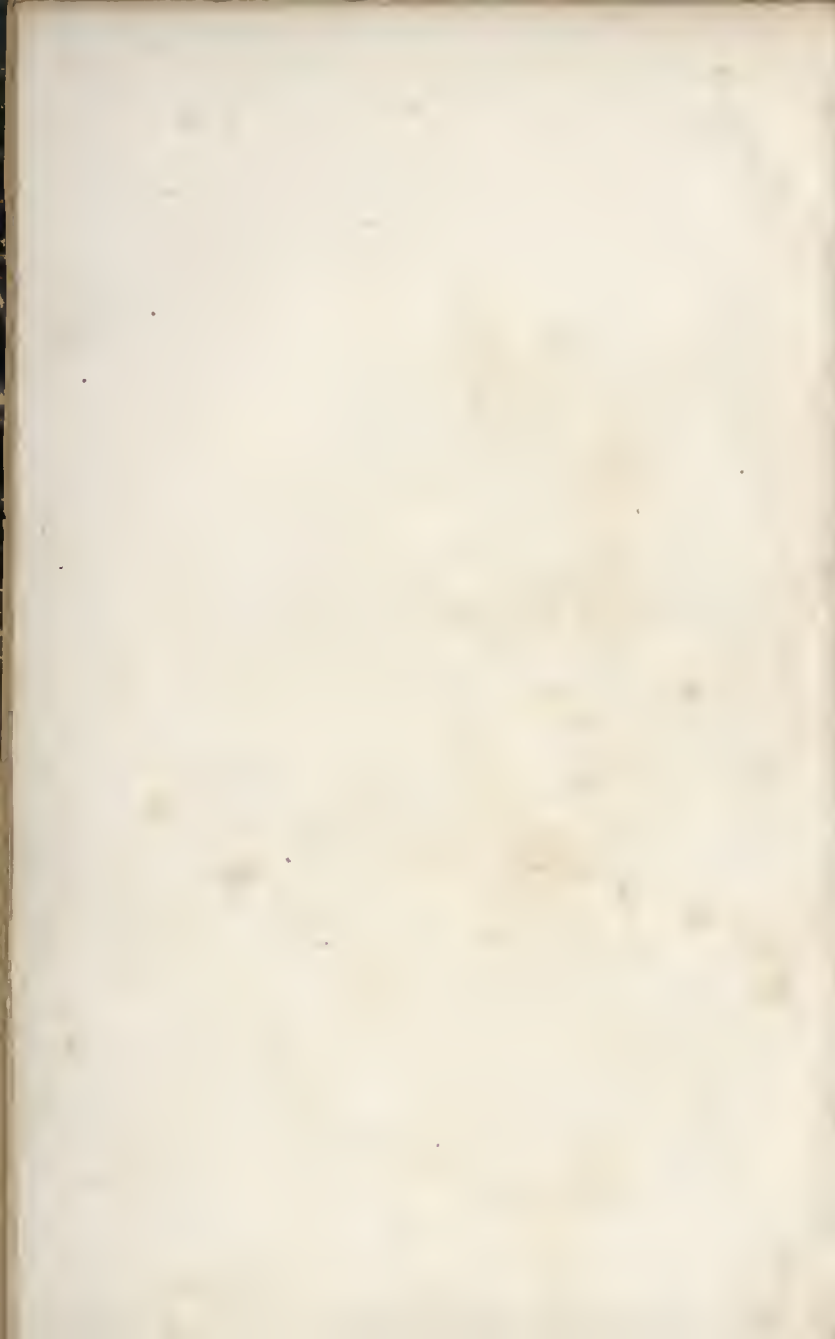


Poznań, czeionkami M. Ziemna.

1986 D 26

„Wszakże też gdy byli w ziemi nieprzyjacielskiej, nie do końcam ich odrzucił, ani im ich tak wzgardził, żeby wyniszczeni byli i żeby ich rzucił przeciwko mojemu imieniu. Jam bowiem jestem Pan Bóg ich...”

Xięgi III. Mojżeszowe. — Leviticus rozdz. XXVI. 44.



P o wszystkich świata gościńcach pełno dziś błakających się wędrowców... idą, lecą, spieszą, pędzą, a tak im pilno poza sobą zostawić kątek rodzinny, troskę domową, wspomnienia życia i groby jeszcze nieporosłe zielenią; — tak im pilno nie widzieć twarzy swoich a przyglądać się obcym, tak im potrzeba utonąć w tłumach nieznanych, ginąć we wrzawie bezimiennój ciżby — jakby się siebie wstydzili, jakby o sobie samych zapomnieć chcieli.

Dawniej, dom, strzechę ukochaną, opuszczano ze łzami, z niepokojem; dziś ją rzucamy z radością. Znikło owe ciche, spokojne, szczęśliwe życie rodzinne — stało się wyjątkowém zjawiskiem, prawie śmiesznością, zakopaniem... wszyscy uciekamy od ciszy, aby hałasem zagłuszyć wewnętrzny ból, znużenie, niepokoje i tęsknice.

I być nie może inaczej; cała społeczność cierpi, rzuca się, miota; jest to chwila niepokoju poprzedzająca śmierć a raczej nową życia formę.

Ale pośród tłumu wygnańców z dobrej woli — iluż wgnanych z musu! wlokących się choć ich tęsknica ciągnie nazad do zamkniętego, opustoszałego lub w gruzach leżącego domu, do rozwalonej przeszłości. Ci, znękani, szukają napróżno kąta, przytułku, ręki przyjaznej, wejrzenia braterskiego, słowa bratniego... wszyscy i wszystko ich od siebie odpycha.

Dla tych co biegną z uśmiechem drzwi każde stoją otworem, pokłon uniżony, służebny czeka ich w progu...

Od pierwszych odwracają się dłonie i twarze, świat się ich lęka; wydziedziczeni, wygnańcy, bez-ojczyzniacy, rzekłbyś że dotknięcie ich parzy, że oddech zaraża; pustkę sięją do koła — ludzie się rozstępują, bo obawia się każdy aby mu ten biédak odarty i nagi, potrzebujący wszystkiego, nie wydychał jego powietrza, nie zjadł jego chleba, nie wydarł zarobku.

I gnają ich różgą pogardy, szyderstwa dalej a dalej... w stepy i pustynie...

Oddawna świat takiego niepokoju i zamętu nie doświadczał: narody podobne są do porozbijanych mrówisk, z których tysiące drobnych istotek rozlatują się przerażone. Tęsknota, chciwość, nieckre-

ślone żądze, nienasycona ciekawość, pragnienie nauki, głód grosza, znudzenie sobą, rozpędzają na wsze strony.

Zyska zapewne na tém ostatecznie ludzkość, ale tymczasem jednostki zamiast zbliżać się do siebie, żyć się z sobą oduczają; pękają węzły co ich gromadkami trzymały powiązanych, nawykają wszyscy uważać się za gości jednodniowych, zastygają serca, obojętnieją stosunki. — Podróż życia i tak już krótką, jeszcze sobie tą włóczęgą skracamy.

Niema nic dziwnego że w takim stanie ducha — na głównych gościńcach Europy trafiają się nieraz najdziwniejsze, najniespodziewańsze spotkania. Tam gdzie tłumy przepływają bez ustanku, fala przynosić musi często rozbitków z różnych świata krańców, skorupy z głębin wyrzucone burzą, złomy koralów i strupieszale polipy i dyszące rybki i zielone alg gałęzie.

~~~~~

Jednego skwarne go popołudnia poczynającą się jesieni 1860 roku, najślawniejsze a raczej jedyne: *Albergo e trattoria della Grotta* w Sestri Ponente pod Genuą na drodze wiodącej do Savony; oberża utrzymywana przez szanownego Gaëtano Firpo, który jest zarazem restauratorem klubu przy Teatro Carlo

Felice w Genui; napełniła się liczbą gości w dnie powszednie nadzwyczajną.

W niedzielę nie byłoby to wcale dziwném, bo naówczas Trattoria della Grotta rachuje na zwykłych swych gości genueńskich, ale we Czwartek, niespodzianka ta, wcale miła, rozjaśniała rumiane i opalone oblicze gospodarza.

Sestri Ponente leży pod Genuą o niespełna godzinkę drogi, nad samém morzem (*in vicinanza del mare*, opiewają prospekta pana Firpo) na sławnym gościńcu wiodącym do Savony i Nizzy; w dosyć wdzięczném położeniu. Genova la Superba, której na niczém nie zbywa, nawet na zielonych drzewkach wśród przepysznych jój murów, niema tylko jednéj rzeczy... Oblanej morzem braknie jój morskich kąpeli. Port ma doskonały, ale to co tu kąpielami zowią, szkaradne. Kto się chce koniecznie wykąpać w morzu, najmuje łódkę, wyjeżdża nieco z brudów portowych; tam przywiązują mu sznur do pasa, z łódki spuszcza ją wschodki i biedak siedząc na ślizkich ich stopniach, musi się w wodzie pluskać ostrożnie, ale z tą pociechą wewnętrzną, że jeźliby się wschodki lub nogi ośliznęły, pocziwy przewoźnik jak rybkę wędką za sznur by go z głębiny wyciągnął. Jeżeli się ten sposób nie



podoba, można się jeszcze kąpać w brudnej wodzie portu siedząc na śliskich skałach, lub naostatek w marmurowej wannie na Piazza Sarzana.

Więc też ci co do drogiego, modnego Livorno lub do prześlicznej Spezyi pojechać nie mogą, wyruszają do ubogiego Sestri, albo innej małej jakiejś miejsciny pod Genuą i tam biorą kąpiele, na mniej więcej kamienistym wybrzeżu. — Rozumié się że bogatsi którym równie chodzi o wygodę jak o towarzystwo i o sławę miejsca przez nich zaszczyconego pobytem, szukają sobie innych, wymyślniejszych kąpielei, przyjaźniejszego piasku i arystokratyczniejszej fali. Sestri służy oszczędnym, cichym, którzy więcej morza niż ludzi potrzebują, więcej spokoju niż rozrywki.

Oprócz tego Sestri ma znaczne bardzo warsztaty do budowy mniejszych statków kupieckich, i to podobno głównie żywi je i bogaci. Okolica smętna jest ale poważna i piękna; do koła wstają wzgórze linii surowych i klasycznych Poussinowskich profilów, strojne w winnice, gaje, ogrody, ville niegdyś wspaniałe a dziś puste jak większa ich część we Włoszech, klasztory i kościółki. Z pięknie wykrawanego brzegu widok sięga w jedną stronę ku Genui, w drugą daleko aż ku Savonie, wzgórze

sine giną we mglistych morza wyziéwach... Na prost nic nie postrzegasz tylko niezmierną przestrzeń lazurów i zieleniejącej fali.

Niedaleko od wybrzeża stoi, dosyć wykwintnie wyglądające zdala, *Albergo della Grotta*. Niema najmniejszej wątpliwości że piękny ten pałacyk nie był na gospodę zbudowany; jest to villa jakiegoś możnego pana, później sprzedana i przerobiona na dom zajezdny.

Podwórzec pełen laurów, granatów, pomarańcz... wschody wiodące na górne piętra przystojne; wszędzie ślady fantazyi pańskiej i zbytku, na których gruzach usiadł dziś spekulujący restaurator nieposzanowawszy pańskiego dworca... Zmieniły się warunki życia wszędzie — z gmachami dawnymi tak się też dzieje nietylko we Włoszech: nie odpowiadają one wymaganiom i potrzebom dzisiejszej społeczności, więc niejeden pałac przerobiono na browar, niejedną villę na gospodę, a rokoszny ogród na plantacyą burakową... Ocalały tylko te które nabyli ludzie nowego mienia i imienia... Gdzie w opuszczoną skorupkę zdechłego magnata wlażł paszyt bankier... lśni się jeszcze i porusza stara muszla arystokratyczna, ożywiona istotą nową.

Główną ozdobą téj villi, jak jéj nazwanie samo

zwiastuje, była naturalnie grota, która dziś dała imię gospodzie; jest w istocie osobliwą i bardzo kunsztownie zbudowaną; przypomina ona stare rzymskie czasy i zbytki, przepychy, uczy i dziwactwa wymyślne Rzymian za cesarstwa, którzy chowali ostrzygi w sadzawkach na dachach, i kochali się w przewycięzaniu natury... aż do szaleństwa... Grota jest na małą skalę takim snem wśród błędnego dnia... podziemiem na powierzchni ziemi, niespodzianką.

Jest to ogromny salon, całe téj villi skrzydło zajmujący, przerobiony z pomocą trochy gipsu, farby i konceptu na łudzącą w istocie i jakby naturalną pieczarę stalagmitami okrytą. Wchodząc do niej na pierwszy rzut oka można się sądzić w podziemiu i wiele osób z początku bierze ją za igraszkę natury, wykończoną i przyozdobioną przez sztukę. Ściany, zasklepienie, wszystko się wydaje jakby z jednej opoki, z kamienia. Głęb' tajemniczą, ciemną, poprzerzynaną labiryntami oświeconemi z góry, zajmuje umyślnie wpuszczona sadzawka i cicho szmerzący wodotrysk. Jest to coś w istocie uroczo pięknego dziwnego, niezwyčajnego, w początkach czyniącego silne wrażenie, ale powoli, gdy się rozpatrzy gość, gdy oczy się oswoją, chłód owionie, ów urok pierwszy rozwiewa się i znika.

Dziś niestety... jest to starą dekoracją pokryta prosta, prozaiczna izba restauratora... Stoją w niej rzędami usługne i potulne stoliczki i krzeselka dla gości; nawet w najciemniejszym, tajemniczym zakątku grotty, nad skałami otoczoną sadzawką — postawiono stół, gwarzą, śmieją się, piją, porozbierawszy z sukni, odpoczywają Genuieńczycy — przejezdni woźnice zażywający wczasu lub, naprzemiany, jaka rodzina angielska, która po chwili ustępuje miejsca prostym parobczakom od warsztatów; bo w sali tej najzupełniejsza równość stanów, w obliczu makaronu i wina. Gospodarz z równą zabieглиwością posługuje lordowi i furmanom; kto wie nawet czy dla drugich nie jest więcej uprzedzającym, i słusznie, bo lordowie rzadko dwa razy jednym przejeżdżają gościńcem, a woźnice jak febra wracają, jeżeli nie codzień to przynajmniej przez dzień.

Kuchnia Trattoryi nie jest ani gorszą ani lepszą nad inne włoskie; wino dają znośne dla niezepsutych podniebień, chłód tu panuje miły, a gdyby jeszcze gazu nie było czuć przykro, który grocie wieczorami oświeca, możnaby ten kąt nazwać bardzo przyjemnem schronieniem.

Przez okienko ukryte w skałach z jednej strony zaglądają cisnąć się, gałęzie granatów i liście drzew

pomarańczowych, w chwilach ciszy słyhać szumi niedalekiego morza, które z dachu płaskiego grotty widać doskonale; a w powszednie dni, gdy tłumu nie ma i szkaradnej muzyki, ani wrzawliwego balu, bardzo przyjemną chwilę spędzić tu można... Sestri jest zresztą cichą miejsciną, którą tylko niekiedy ożywiają przejezdni, a kolój żelazna nieco godzinami gwarliwszą czyni. Mało się tu osób zatrzymuje, bo zdala widać już białą latarnię morską u portu genueńskiego; każdy spieszy do Superby. Najczęściej goszczą w Sestri ci, co zwiedzają okolicy, słynne ogrody villi Pallavicini, niedaleko miasteczka położone, lub pragnący spocząć na ustroni i nie obawiający się *brodo* pana Firpo...

Jednego tedy popołudnia skwarne, Albergo było nadzwyczaj przepełnione; z Genui nadjechała para niebiesko malowanych dyliżansów, kilka dorożek; jacyś podróżni przybyli od Nizzy — wszystko to odpoczywało w grocie. Zgłodnieli wędrowcy powysiadali do restauracyi, a gospodarz i służby naturalnie zaprowadzili ich zaraz do tego salonu, będącego chlubą ich i dumą, jakiemu równego przynajmniej na kilkadziesiąt mil w około nie ma.

Większa część stoliczków była zajęta, obsadzona najróżnorodniejszymi przybylcami, dosyć rozpiers-

chniętami i zdającymi się z nieufnością wzajemną na siebie poglądać.

Przy jednym siedział średniego wzrostu piękny mężczyzna w sile i pełni lat, z twarzą wyrazistą, jakby włoskiego charakteru, w której się przecież cudzoziemski, wschodni typ, baczniej przypatrzwszy się, przypominał.

Czoło miał wyniosłe, pogodne, choć na niem wcześniej troska czy praca niejeden fałd narysowała; wejrzenie jasne, śmiałe, jakby o ukojeniu walk wewnętrznych świadczące, rysy w ogóle piękne, uderzające wyrazem i energią. Znawca fizioonomii ludzkich, człowiek z uczuciem wejrzawszy raz na to oblicze, musiał mu się baczniej i z zajęciem przypatrywać, coś ku niemu pociągało. Ubranie jego podrózne bez wykwinności ale smakowne a wygodne, dawało się domyślać jeźli nie zamożności to przynajmniej przyzwoitej mierności i dostatku starczącego potrzebom. Skromny posiłek stał przed nim, resztki małej przekąski, proste wino, owoców trochę i séra.

Przy tym zapomnianym nieco deserze, Gorgonzoli, figach, gruszkach i winie, dumał powoli zabierając się do zapalenia cygara, które oddawna już machinalnie w rękę obracał.



Przy drugim stoliku obok, liczniejsze skupiło się gronko, któremu królowała piękna pani, brunetka nie pierwszej już młodości, ale świeża, żywa, z różowemi ustami — ponętna bardzo a nadzwyczaj śmiała. Po obu stronach téj królowej siedziało dwóch mężczyzn. Jeden barczysty, słuszny, już szpakowaciejący brunet, który zdawał się być jéj mężem a mógł być tylko statecznym przyjacielem.... drugi wysmukły chłopak, blondynek, nieśmiały jak dziewczeczka na pozór, rumieniący się co chwila, w którym krew grała jeszcze żywo, to go oblewając falą rumianą, to uciekając do serca za najmniejszym słówkiem głębiej dotykającym, zostawując po sobie świeże przejrzyste lice, puszką ledwie wiosennym okryte.

Trójka ta jadła obiad, dosyć wesołą ożywioną rozmową, rozglądając się po cudownej grocie, bawiąc tą niezwykłą fizioznomją sali jadalnej.

W przeciwnéj stronie nad butelką wina, podparty, zamyślony, z ręką w długich czarnych włosach, rozrzuconych w nieładzie, dumął mężczyzna palący cygaro z brwią nachmurzoną, nawisłą, niemłody już, złamany życiem jak się zdawało, zobojętniały, cały w sobie, choć widocznie szukał po za sobą rozrywki i łaknął roztargnienia. W jego

twarży i wejrzeniu było coś mimowolnie ściągającego uwagę, drażniącego jak zagadka. Wyglądał jakby nieeuropejskiego plemienia potomek ciemnej płci, prawie czarny, opalony, ust nieco szerokich, niskiego kwadratowego czoła; miał w rysach coś egipskiego sfinxa. Twarz była jakby z bazaltu wyrzeźbiona, ale życiem złagodniała i zmiękła. Wszakże w głębi fałdów tej maski dziwacznej kryły się resztki ugaszonych a niegdyś gwałtownych namiętności. Teraz to morze zburzone spało już cicho kołysane wieczornym wiatru powiewem.

Jeszcze dalej siedzieli dwaj Włosi, poznać ich było łatwo naprzód po zrzuconych poufale sukniach, mimo że w gronie były kobiety, i po wyrazistych twarzach, oliwkowej cerze, oczach pełnych ognia, naostatek po kruczonych włosach obficie spływających na ramiona. Jeden z nich młodszy, miał wąsy i bródkę *à la Victor Emmanuel*, postrzyżone krócej pukle i wyglądał wojskowo; drugi otylszy, starszy, podobniejszym był do artysty. Wesołe oblicza obu świadczyły, że im nie dokuczała tęsknota, że byli u siebie w domu, na własnej ziemi, oddychali powietrzem, do którego piersi ich nawykły.

Za nimi znowu o parę stolików dalej siedział



— sam jeden mężczyzna blady o włosach jasnych, wyraźnie potomek wielkiej germańskiej rodziny, spokojny na pozór, nie zważający na nic, ale widocznie też wychłostany biczem losu. Ubrany był dosyć ubogo, dość zaniedbany; przed nim stała fiaszka białego wina, trochę chleba i sera kawałek. Patrzał na grootę obojętnie, na ludzi zimno, zdawało się, jakoby po za nim, za poręczą krzesła stało widmo nadchodzącego jutra, na które obejrzeć się lękał.

Cicho było w podziemiu.... rozmowa półgłosem toczyła się tylko przy tym stole, za którym siedziała kobieta; reszta towarzystwa spoczywała poglądając ku sobie zdaleka; szcękneły czasem butelki i szklanki wina, to znowu przewiało ciszą grobową.

Wtem wszedł do groty jeszcze jeden gość, nie przez wielkie, paradne drzwi wiodące do niej od środka domu, ale przez mniejsze drzwiczki od dziedzińca. Wszystkich oczy zwróciły się na niego. On także z podziwieniem, z przestrachem prawie, powlókł wejrzeniem po osobliwszém owém podziemiu sztuczném, które na każdym nowo przybyłym czyni z razu przejmujące wrażenie.

Był to chłopak młody, blady, widocznie przy-

włókł się pieszo, bo cały okryty był pyłem włoskiego gościńca, który czarną zarówno i białą odzież na szarą przemienia; na twarzy jego znój podróży zmieszany z prochem dziwne pokreślił rysunki, jakby indyjskie wzorzyste wyklucia. Pomimo téj szpetnej maski, mimo wybladłego oblicza, był pięknym i miał w sobie ten urok, którym pociąga boleść wewnętrzną ku sobie tych ludzi, co ludźmi być nie przestali. Jasnowłosa, wybladły, osłabiony, w ustach miał wiele słodczy, w oczach omdlałych wyraz uczucia prawie niewieściego i domyśleć się było łatwo, że przecierpiał wiele, prawie nad siły...

Strój jego ubogi, mały tłumoczek w rękę i laska podróżna, świadczyły że z potrzeby więcej niż dla przyjemności długą podróż odbył pieszo.

Wchodząc oczyma począł nie śmiało szukać ustronnego kąta, a widząc pozajmowane do koła stoliczki, poszedł w głąb powoli, i poza Niemcem znalazłszy miejsce z cicha przypadł na krzesło. Ledwie zdjął kapelusz słomkowy, otarł czoło i chciał podeprzeć na stole, gdy nagle pobladł, twarz jego przybrała dziwny wyraz cierpienia, chwycił się konwulsyjnie za stół jakby usiłując przytrzymać, ale mimo to pochylił się w tył i upadł zemdłony.

Krzesło przechylone obaliło się z nim razem na

podłogę, szczęściem jeszcze jakimś nie rozbił sobie głowy o sterczące naśladowanie stalagmitów i zwolna zsunął na ziemię.

Wszyscy podróżni — należy im oddać tę sprawiedliwość; kobieta najpierwsza prawie — rzucili się do biednego młodzieńca który leżał bez zmysłów, trupią okryty bladością, ale z wyrazem tego spokoju, który śmierć i omdlenie na każdą prawie twarz wkładają, aby nie przerażała żywego świata.

Najprzytomniejszą ze wszystkich okazała się kobieta, choć wcale na siostrę miłosierdzia nie wyglądająca; ale w sercu każdej niewiasty kryje się matka i siostra. Pochwyciła wodę ze stołu, zmoczyła serwetę i przyłożyła ją do skroni młodego chłopaka, który z westchnieniem głębokiem oczy otworzył i przychodząc do przytomności powoli, wstydzić się zdawał swego, nieco kobiecego wypadku. Ze spuszczoną głową oparł się na łokciu oglądając bojaźliwie do koła, a usta jego bełkotały przeproszenia niewyraźne, podziękowania i popłatane wyrazy skłopotanego, zasromanego wyrostka, który świata i ludzi się lęka.

Jakkolwiek krótko trwało omdlenie, już i gospodarz miał czas dowiedzieć się o wypadku; a że mu on groził niemiłemi następstwami, nie przez li-

tość wcale, ze strachu tylko o siebie, o formalności jakie śmierć sprowadzić mogła, przybiegł wylekły, zabierając się może nawet wypędzić chorego z groty, aby sobie gdzieindziej miejsca szukał (nie wyglądał bowiem zamożnie)... gdy otwarcie oczów uspokoiło go i wstrzymało wystąpienie.

Charakterystycznym było wszakże zjawienie się tej postaci groźnej, niosącej, trybem wiekowi właściwym, zamiast litości braterskiej, niemiłosierny wyrok wygnania ubogiemu i choremu... dla tego że śmiał być chorym będąc ubogim...

Pierwsze dziś uczucie jakiego człowiek doznaje na widok drugiego człowieka, to uczucie nieufności i obawy o siebie samego... Społeczność tak się urządziła, że jej nad wszelkie obowiązki idealne miłszy jest spokój, więc precz z biedakami coby go zamącić mogli... a jeszcze nieopłaconem skonanem i dalej pogrzebem o cudzym koszcie!!

Zawstydził się nieco gospodarz widząc gości krzątających się około nieznajomego; ale w duszy sobie przyrzekł że tego, mdlejącego tak łatwo, młodzińca, bez tłumoków i pewnie bez pieniędzy, pod żadnym pozorem na noc nie przyjmie... Genua pod bokiem, w Genui są szpitale — niech

sobie rusza, niech co najrychlej się wynosi. Gdyby był wiedział jeszcze co omdlenie spowodowało!

Przyzwoitość kazała mu na chwilę ustąpić — tymczasem przytomni krzatali się około przybysza, mówiono po włosku i francuzku usiłując się zrozumieć i połączyć; podróżni zupełnie sobie nieznani przed chwilą, krzatali się wszyscy jak starzy znajomi; zbliżyło ich ku sobie pocziwe ludzkie uczucie miłosierdzia, kobieta z żywym zajęciem białemi pulchnemi rączkami opatrywała głowę z której skroni nieco krwi ściekało; inni szeptali między sobą, snąc usiłując odgadnąć przyczynę wypadku.

— To nic, to nic, począł coraz wyraźniej mówić, z przymuszonym uśmiechem omdlały — najmocniej przepraszam, dziękuję... ale to gorąco... zmęczenie...

— Bardzo być może iż omdlenie pochodziło z głodu — szeptali po cichu mężczyźni — uważajcie tylko jak na twarzy wynędzniały i zmęczony... Z mowy i fizyognomii znać dziecię północy, cudzoziemca...

Po tej przerwie niepokoju i przestachu zwolna jednak przychodziło już wszystko do porządku; radzono osłabionemu trochę wina, kobieta przyniosła

mu sama swą szklanę napełniwszy ją — on usta w nią umoczył, pomieszany dziękując więcej przez grzeczność niż z wielkiej ochoty.

— Ale chodź pan tu, siadaj z nami, odezwała się z natarczywością kobiecą, posługując się najzrozumialszym wszędzie francuzkim językiem — posil się pan... odpocznij... przejdzie osłabienie... Czasem się podobne wypadki powtarzają, więc bezpieczniej ażebyś tu był między nami i żebyśmy cię pilnować mogli... Ale, jeżeli wolno zapytać, z kądże to i dokąd?

— Ja... ja... jakaś się młody człowiek, zmierzalem do Genui.

— A z daleka? dodała z niedarowaną ciekawością kobieta...

— Dość z daleka... dość... z Francyi... szedłem pieszo... upały...

Umilkli trochę, nie wytrzymała jednak nieznanajoma, była tak uprzedzająco grzeczna że jęj to dawało prawo badania.

— Ale pan nie jesteś Francuzem?

— Nie, pani...

— Poznałam zaraz po akcencie że pan jesteś cudzoziemcem... przerwała mu szczebiocąc.

Mężczyzni od drugich stolików, choć nieśmiało,



zaczęli się przybliżać do tego, przy którym usiadł zaproszony młody człowiek; nawet Włosi ciekawi przysuwali się nieco; rozmowa o podróżach, o wypadkach w drodze, poczęła się stawać ogólną — tocząc w większej części po włosku; każdy do niej słówko jakieś dorzucał.

Młody człowiek z wolna odzyskiwał siły, bladą twarz jego ożywił rumieniec, krew znowu poczynęła krążyć w nim z potęgą młodości, podwojoną jakimś ukrytem cierpieniem; — oczy kobiety z uczuciem politowania i prawie macierzyńską troskliwością zwrócone były na niego.

— To prawdziwie nie do darowania, odezwała się po chwili, że pan podlegając omdleniom, puścić się mogłeś w taką podróż sam jeden, pieszo — w takie upały, tak nieopatrzenie. Jakkolwiek Włochy, wyjąwszy okolice Neapolu, straciły dawną sławę czy niesławę swoich rozbójników, którzy już tylko w powieściach żyją i bohaterzą... jeszczebyś pan, gdzieś w kątku, mógł być, jeżeli nie zabitym, to przynajmniej odartym...

Młody człowiek uśmiechnął się boleśnie, smutno — spuścił w dół oczy.

— Nie, rzekł powoli jakby sam do siebie — zrzucę pychę z serca, nie będę się wahał wyznać

prawdy. — Rady pani są w istocie najlepszymi, najszlachetniejszymi, ale ja... nie mogłem — było dla mnie niepodobieństwem do nich się zastosować... Podniósł na nią oczy z uśmiechem przejętym cierpieniem.

— Nie miałem do wyboru, kończył ironicznie — tak lub inaczej postąpić, musiałem puścić się pieszo, jechać nie mając za co...

— Biedny chłopak! cicho szepnęła kobieta... to okropnie!

— Jestem — wygnaniec, mówił dalej podróżny z niejaką dumą podnosząc głos — jestem Polak... Wyszedłem z kraju zagrożony wyrokiem, który za małe przewinienie szkolne całą mi przyszłość odbierał... myślałem że znajdę przytułek i gościnność łatwą u litościwych ludzi... Szukałem ich we Francji, w Anglii, w Niemczech, znalazłem tam co najwięcej piękne słowa a brzydką obojętność; zwróciłem się więc ku gościuniejszym może Włochom... Niedawno jeszcze i one były w tém samym położeniu, dzieci ich dzieliły losy nasze, błakając się po niegościnnych progach obcych, szukając przytułku, współczucia, opieki... Ale...

Tu przerwał młody człowiek jakby się opamiętał nagle. Wyznanie jego niespodziewane, uczyniło



na przytomnych wrażenie bardzo różne; z początku jakby obawa jakaś przejęła widocznie wszystkich, zawahali się, ochłodli, aż po niepostrzeżonej chwili walki wewnętrznej pocziwsze uczucie przemogło i wszyscy znowu zbliżać się, przysuwać ku niemu poczęli. Zyskał ich sobie tą szczerością spowiedzi.

— Jesteśmy więc... współrodakami, rzekł po polsku cicho blondyn wysmukły, siedzący przy pięknej pani, rumieniając się zakłopotany... bo i ja... trochę Polak jestem... *ale* Galicyanin....

To *ale* dziwnie zabrzmiało w uszach wygnańca, któremu sam sposób odezwania się, ton mowy dały poczuć że tylko ukryć się niemogąc ze swém pochodzeniem, Galileusz objawił je. — Skłonił się milczący i dotknął podanej sobie dłoni, ale w tém z za krzeseł przystojny brunet o czarnych włosach, odezwał się z uśmiechem pełnym niewysłowionego bólu i sarkazmu razem:

— Ja także... mam honor przedstawić się panu jako trochę Polak... *ale* żyd....

Ostatnie wyrazy wymówił z pewnym umyślnym przyciskiem.

Młody, wysmukły Galileusz odwrócił się żywo, popatrzył ciekawie; żyd nie spieszył z podaniem ręki, wstrzymywało go poczucie własnej godności,

przyjął wszakże skwapliwie wyciągniętą ku sobie dłoń niedawno omdlałego wygnańca i uściśnął ją serdecznie.

Galicyanin zapewne z obawy, aby nie był wezwany do połączenia ręki swój z tamtymi, począł czegoś szukać po stole.

— No... kiedy się tak poznajemy wszyscy, to i ja także mogę się po troszę policzyć do ziomków pańskich, odezwał się po francuzku wysoki, barczysty, niemłody człowiek siedzący przy brunetce... jesteśmy pobratymcy, Słowianie, bo ja Ruski jestem... jak wy zowiecie Moskal... *ale*, dodał z uśmiechem — ale wygnaniec... Podajmyż sobie dłonie.

Wszystkie ręce na to wezwanie wysunęły się dość spiesźnie i z kolei uściśnęły w milczeniu.

Wtém odosobniony czarny, ogorzały mężczyzna, który siedział z tyłu samotny, a rysy miał starego egypskiego sfinxa i prawie bazaltową cerę, rzekł z ironicznym akcentem i przerywanym śmieszkiem:

— Eh! eh! dostojni panowie, Polacy, Słowianie, *ale* wygnańcy i włóczęgi... pozwólcieź bratu w biedzie, wygnaniu i wyklęciu... wyciągnąć też prawicę parij. Niestety... muszę z bólem serca wyznać panom... że jestem Cyganem... ale bogatym, co się rzadko Cyganom trafia... z tego powodu koni nie

kuruję i pieniędzy nie kradnę... Tak, szanowni panowie, należę w istocie do tego wyklętego plemienia wiekuistych wędrowców, których średnie wieki pędziły po Europie chłostą i groźbami... a czasy dzisiejsze ścigają dotąd przesądnym wstrętem... Wyjęte są tylko z niego piękne moje siostrzyczki do lat dwudziestu kilku, dopóki mają białe ząbki, głossek brzmiały i figurkę niczego! cha! cha!

*Comme correctif* miałem honor panom oświadczyć i powtarzam że jestem bogaty, choć nie król cygański, ale człowiek prywatny i z profesyi dziś próżniaczysko.

Rozciekawione żrenice kobiety, Włochów, wszystkich w ogóle przytomnych skierowały się ku mówiącemu; on uśmiechał się badając po twarzach wrażenia, sam zdając się chłodny i nieporuszony.

— A no, dodał, z trochę domyślności powinniście przecież byli rasę odgadnąć z méj twarzy, noszę na niej świadectwo pochodzenia niestarte, żadna woda liljowa go nie zmyje... żaden kosmetyk maski téj zdjąć nie potrafi...

— Czekajcież panowie, rzekła przerywając zrecznie z żywością i pospiechem chwilę przykrego dosyć milczenia kobieta — jeżeli tytułem do bra-

terstwa ma być wygnanie i włóczęga, moglibyście panowie i mnie przyjąć do swego grona... doprawdy.

I powolniej, zniżając głos nieco, dodała:

— Ojciec mój był wprawdzie Włochem, ale żył w tych czasach gdy piękna Italia nasza nikomu ojczyzną być nie mogła, bo była *wyrażeniem jeograficzném* tylko... wygnaniec dobrowolny żył w Anglii; matka moja pochodziła z rodziny irlandzkiej, mąż mój był... Rossyaninem... umarł biedny.... Gdybyśmy dalej sięgnąć chcieli, babka moja była Greczynką z téj epoki, w której Grekiem zwać się nie było wolno...

Ani się spotrzegli gdy poza niemi stanął niespodzianie mały człowieczyna z ogromnym parasolem na ramieniu, ubrany bardzo starannie, w okularach, z lornetką podróżną przewieszoną przez ramię, z torebką przez drugie... ten przysłuchawszy się rozmowie, zawołał śmiejąc się na głos:

— A no! bravissimo! kiedy się tu sobie wszyscy prezentują, czemuż bym i ja nie miał? przepraszam że przerywam, dodał kłaniając się zdumionej kobiecie... ja także nie ustąpię z pewnych względów nikomu... jestem niby to Duńczyk, matka moja była, jak chcecie Szkotką lub Angielką, babkę miałem po troszę Włoszką, mieszkałem długo we

Francyi, zdaje mi się nawet że jestem w niej naturalizowanym... Spodziewam się tedy że i ja mam prawo zjeść tu obiad w towarzystwie przybłądów z całego świata... No? jak się państwu zdaje?

Wszyscy się śmiać poczęli, bratersko witając ochoczego, wesołego przybylca...

— Ha no, to i ja się prezentuję, odezwał się w końcu nieśmiało i pocichu syn jasnowłosej Germanii siedzący zdala — przyznam się państwu że też jestem wygnańcem... To mówiąc skłonił się zdala i usiadł.

— Kwestya ojczyzny, dzisiaj, przerwał żywo Duńczyk-Francuz — wiercie mi państwo, sprowadzić się daje do czysto finansowego zadania. Masz pieniądze? przyjmą cię wszędzie oburącz, uobywatelą, wynaturalizują, uściskają... nie masz nic?... ruszaj kochanku dalej... bez grosza obywatelstwo się nie zyskuje nigdzie. Wygnańcem więc w ścisłym znaczeniu wyrazu i parją jest tylko dziurawa kieszeń... Choćby po nad nią powiewały gałęzie laurowe i dębowe wieńce, golizna zawsze cuchnie. Miejcie panowie pieniądze, a dokupicie się tylu ojczyzn ile ich zechcecie... a w ogóle, dokończył, co do mnie, potrzeba ojczyzny wcale mi się czuć nie daje...

Ruszył ramionami.

— Więc my tu tylko dwaj, rzekł nareszcie jeden z dwóch przytomnych téj scenie Włochów — stanowimy wyjątek i nie mamy prawa należeć do tego miłego kółka... ale nie chcielibyśmy być z niego wyłączonymi, musimy i my szukać jakichś tytułów do przyjęcia w wasze grono... Otoż, dodał, poszukawszy znajduje ten tytuł dla nas obu... jesteśmy naprzód artyści, a więc włóczęgi wiekuiste, duchem i ciałem, wieczni na téj ziemi wygnańcy; powtóre, choć Włosi, jesteśmy jeden Rzymianinem, drugi Wenecyaninem... Otoż, jeżeli komu to Polakom podać możemy z tego tytułu dłonie bratnie... jedne, niestety, jednako smutne losy nasze.. myśmy przynajmniej tak biedni jak oni...

— Nie! nie! przerwał wygnaniec wyciągając ku nim ręce... wy z gorącą piersią macie się gdzie schronić przed prześladowcami, dla was otworem stoją całe wielkie Włochy... wy macie ojczyznę, króla, państwo... my... tylko oprawców, katów i ścigające nas gdziekolwiek się ruszycie uciekając od stryczka i miecza... dyplomatyczne zabiegi, chmury szpiegów, prześladowanie obojętności... gnające w Sybir lub do grobu... myśmy stracili w oczach Europy nawet prawo do życia!...

Gorączkowy ten wykrzyk rozpaczny na chwilę przerwał rozmowę zbyt dramatycznym swym nastrojem; ale wszyscy po spowiedziach jakoś się czuli zbliżeni ku sobie dziwnym sposobem. Towarzystwo to tak różnorodne, Włosi, Polacy, żyd, cygan, Rosjanin, Duńczyk skupili się nieznacznie ku jednemu stolikowi, a że przy nim dosyć miejsca na szklanek i talerze nie było, zsunęły się bliższe, małe stołeczki, i ci nawet co najmniej mieli skłonności do robienia znajomości nowych, ulegli jakiemuś chwilowemu prądowi. Pierwsze lody przełamało owe omdlenie i młodzieńczy wykrzyknik Polaka.

Większa część ludzi wśród dzisiejszych włóczęg po świecie, wzdraga się od zaznajamiania w podróży, jest to prosta rachuba ekonomiczna; każdy nowy stosunek kosztuje trochę słów grzeczności, ustępstw pewnych dla nieznajomego; trochę kłopotu i szafunku jeśli nie myśli to głosu... a potem... często w kilka minut wszystko bez użytku przepada, gdy podróżny okupiony temi ofiarami na przyszłej stacyi wysiada....

Naturalnie ten expens daremny, zubożający, wygodniej jest milcząc wyciągnąć nogi bez ceremonii, choć w sposób nieprzyjemny dla sąsiada, który zaraz z oczu ma zniknąć.



Tym razem wyjątkowo wszyscy zapomnieli się rachować i ludzkie, pocziwsze uczucie poruszyło sercem kobiety a od niego zaraźliwie rozeszło się po innych... Wszystko jest na świecie zarazą, nawet cnota....

Był to w istocie rzadki wypadek w rocznikach nowoczesnych.

Przed laty pięćdziesięciu, gdy ludzie się mniej kręcili po świecie, daleko byli w ogóle przystępniejszymi dla siebie. Dziś taka się przed oczyma przesuwa mnogość różnych egzemplarzy człowieka, począwszy od książąt bez księstw do proletaryuszów bez koszuli, że nikt już tych *okazów* nie jest żądny ni ciekawy. Człowiek w ogóle mocno się spopolitował.

Najsympatyczniejsza fiziognomia więcej odstręcza niż pociąga, bojemy się żeby nas zbyt długo przy sobie nie zatrzymała.

Gospodarz trattoryi, który ukradkiem przeze drzwi zaglądał, zawsze w obawie, aby mu ów mdlejący podróżny nie zmarł nagle — uspokoił się nieco widząc go pod opieką całego towarzystwa, co, w najgorszym razie jakiego wypadku, zwalniało od obowiązków, których brzemie tak przerażało pana Firpo.



Kobieta ożywiona dobrym uczynkiem, który zawsze przywiązuje do tego, komu się nam przysługę uczynić powiodło, rozradowana w duszy, poczęła po chwili rozmawiać z Wenetem i Rzymianinem, potem zwróciła się do młodego Polaka, potem zagadnęła owego Duńczyka-Francuza, przemówiła do cygana, uśmiechnęła nawet flegmatycznemu Niemcowi, i tak poplątała sieć, którą ich wszystkich z wiązać pragnęła, że się im z niej wywikłać było trudno. — Rozmowa w tonie żartobliwym rozpoczęta, ciągnęła się dalej.

— Ja wcale kosmopolitką nie jestem, odezwała się kobieta — człowiek potrzebuje ojczyzny, bądź co bądź, a kto jęj nie ma, temu braknie jednego zmysłu, jednego szczęścia, jednej miłości w życiu — i jednego pojęcia w umyśle, które wiele innych tłumaczy i wyjaśnia. Kto jęj nie ma, ten sobie ją wybrać i stworzyć powinien aby kochał, tak jak w pierwszej młodości człowiek idealną tworzy sobie kochankę... jeśli mu żywój braknie. Przy najnamiętniejszój jednak miłości swojego kraju nie rozumiem nienawiści dla obcych... a! tak piękną rzeczą jest braterstwo wszystkich ludzi!!

— A śliczna! śliczna, przerwał ostatni przybyły Duńczyk naturalizowany Francuzem... któremu tak

pilno było do rozmowy, że najpiękniejszy makaron dla niej porzucił — ale na nieszczęście, szanowna pani, to braterstwo należy do rzeczy bajecznych i niemożliwych, równie jak republiki angielskie i monarchie patryarchalne... jak *une chaumière et son coeur*, bez obiadu i wina, jak tysiące innych pięknych bałamuctw, które sobie ludzie wymyślili, pocieszając wśród tęsknego żywota, wymagającego beefsteaku, *bordeaux*, bankowych biletów i *confortu*, o które nieustannie z głodnymi żołądkami bić się potrzeba... Blisko dwóch tysięcy lat ludzie mówią o tém braterstwie bez przesądów, a spytaj pani Moskala co trzyma o Polaku, Anglika, jak też kocha Francuzów, Niemca... przepraszam... jak też serdeczne ma usposobienia dla wszystkich innych narodów, które mu ciasną robią ziemię i nie dają sadzić kartofli a śpiewać o wielkiej ojczyźnie — gdzie mu się podoba...

— O! o! przerwał spokojny Germańczyk potrząsając głową — już paskwil na spokojnych ludzi! A Schiller?

— Miałem szczęście czytać całego Schillera w bardzo nieznośnym przekładzie — odparł Duńczyk wracając do makaronu w przestankach — Schiller śpiewał wiele o różnych bardzo pięknych rze-

czach, ale was najukochański Arminiusa wnukowie, poeci wasi do niczego nie obowiązują...

Mówię najukochański, dorzucił w nawiasie — bo kocham niezmiennie wszystkich w ogóle, dopóki pojedynczo nie zacznę każdego z osobna nienawidzieć...

Otóż, najukochański Niemcy, kończył Duńczyk, wierzcie mi że nie mówię tego przez zazdrość o posiadanie Szlezwiku i Holsztynu, bo wcale mi te księstwa nie smakują... wy się mylicie grubo utrzymując iż Schiller, Göthe, Kant, Hegel byli Niemcami...

— Jak to? porywając się zakrzyknął jasnowłosy, a cóż pan sobie myślisz?

— Czekaj, czekaj, spokojny wnuku pracowitej Germanii, krwi sobie nie psuj, czekaj — mówił wolniej coraz Duńczyk sfrancuziały, ja was doskonale znam i powiadam wam, że Schiller i Göthe i Lessing i Herder nie są i nie byli Niemcami...

— Więc cóż? jak? powtórzył oburzony Niemiec stukając w stół nożem.

— Przyznaj sam że to były geniusze jak Shakspeare do całego należące świata, nie do samego króla jegomości pruskiego. Na nieszczęście pomiędzy niemi a narodem co ich wydał, mniej może

jest związku, niż między wielu obcemi im po krwi narodami....

— A! tak! tak jest! przyklasnął młody człowiek który był omdlał — pan mówisz prawdę wielką... ja czuję się daleko mocniej bratem Schillera, niż wszyscy Niemcy co go czytają, unoszą się nad nim, stawiają pomniki gdziekolwiek stąpił, a idą wprost przeciwną wskazanęj przez geniusz jego drogą, realizmu, materjalizmu, egoizmu narodowego, ciasnego....

— Stójże zapaleńcze! przerwał Duńczyk — masz lat dwadzieścia jeden czy...

— Dwadzieścia i dwa...

— Pozwalam... tobie jednak nie godzi się jeszcze rozprawić o egoizmie... zaczekaj aż sam egoistą zostaniesz... *Nemo sapiens nisi patiens*... Przyznaję ci jednak żeś mnie doskonale zrozumiał... tylko od komentarjuszów czerwonym atramentem... wara!!

Wszyscy śmiać się zaczęli.

— Za pozwoleniem państwa, dodał rzucając lornetkę i kładąc ją na stoliku przy sobie — to się coś zabiera na przydługą międzynarodową rozmowę, a ja sił nie nabrałem do niej... makaron zatyka, dławi a nie karmi, pozwolicie bym zawołał

o co posilniejszego! Ci Włosi, dodał, od nie wiem wielu lat okłamują pokolenia całe żołądków, wma-  
wiając im cześć bałwochwalczą dla makaronu.

— Nie rób pan ceremonii, zawołała śmiejąc się kobieta...

— E! słuchaj pan, dodał zwracając się do Polaka... nagle... nie bierz mi za złe, że cię na obiad z sobą poproszę... Jest w tem egoizm, sam jedząc nie mogę nic przełknąć, potrzebuję towarzysza i przeczuwam w panu instynktowo apetyt?... he?

Młody człowiek zczerwienił się mocno, ale się zarazem śmiać począł.

— Ale... ale, począł jąkać się.

— Bez żadnego ale, jest to mała przysługa humanitarna... zjemy razem... widząc młodego człowieka z wilczym apetytem lubuję się... a! panie! cobym ja dał żebyś mi go dziesiątą część ustąpił!!

Zakończył głębokiem westchnieniem; i stuknął o stół żywo. Wbiegł służący w koszuli, zaczęły się targi o obiad, rozmowa szła tymczasem dalej powoli. Niemiec siedział oburzony i posepny.

— Widzę że się pan gniewasz na mnie, rzekł skończywszy układanie karty Duńczyk do Germana — ale wierz mi, proszę, wysoko cenię genjusz i cnoty narodu, który tego dokazał że go pełno

wszędzie, jak trychinów i że im więcej on żyje, tem mocniej od niego umierają ci, których łaskawie nawiedzić raczył... Przepraszam! jest to dla narodu pochwała, choć dla trychiny nagana... Jeżeli mi masz za złe że was najukochańszych Niemców, tak jak wy dziś jesteście przyjać nie mogę... no... przeczytaj sobie Heinego... on mnie uniewinnia... wszak to kość z kości.

Niemiec zawstydził się, westchnął i rzucił z pogardą prawie.

— Żyd!

Ale brunet zdaje się tego nie słyszał, był zadumany głęboko.

— Boję się — szepnął do ucha Niemcowi, Duńczyk nachylając się do niego, żeby w istocie przyszłości waszój wkrótce nie przyszło tam szukać, gdzie ją Heinemu ukazała... Hammonia!!\*)

Ale cicho! cicho! cicho!

Westchnęli na jeden ton oba... Niemiec pomimo rozjątrzenia, nie wiem dla czego uściśnął w końcu dłoń Duńczyka który mu coś znowu poszeptał.

Podano tą razą cały obiad, zwykły w *trattori della Grotta*, poczynając nawet od gęstego *brodo*, które mógł być makaron, wedle tutejszej teorii, zastąpić — osmażaną rybkę, podejrzanę wielce o sta-

\*) Zobacz: Wintermärchen.



rożytność mięso, które w gorąco z Genui przybyło i nadto było zmęczone podróżą, potem coś nakształt pieczystego, jakąś włoską jarzynę, sér, owoce, wino... Duńczyk-francuz mocno ramionami ruszał że wszystko, nie *cordon bleu* to gotował, ale prosty kopcidym... jednak był głodny... a głód może wiele. Polak raz przemógłszy fałszywy wstyd, z obawą aby głód jego się nie wydał (był bowiem stokroć gorzej wygłodzony niż Francuz który w Cogoletto coś przekąsił), jadł chętnie i wstrzymywał się tylko od zmniejszenia wszystkiego co przed nim stało, powracającym strachem jakimś upokorzenia.

Biedak oszczędzał ostatków grosza aby się do wlec nazad do tego kraju, z którego niedawno uciekał... a już na współczucie narodów i braterstwo ludów oduczył się był rachować — liczył na własne siły i oszczędność.

— Panowie — dokąd? jeżeli spytać wolno? odezwała Włoszka spoglądając kolejną po wszystkich, jakby pytanie to zachowała całemu towarzystwu.

— Ja, odpowiedział młody Polak... idę, powracam raczej do kraju mego. Wyszedłem z niego przed parą laty wygnany groźbą i postrachem, wróć pędzony tęsknotą i nadzieją... a zestarzony cierpieniem, wiele złudzeń rzuciwszy po drodze...

— Ja także powracam do Polski — przemówił żyd, w duszy méj także ją za moją ojczyznę uważam... ale, pozwolicieź mi ją tak nazywać? dodał smutnie oglądając się — kocham ją, to mi daje prawo...

Młody człowiek ścisnął mu rękę, żywo spojrzeli po sobie i poczuli się dobrymi braćmi. Galicyjanin szukał znów czegoś na stoliku.

— Ja — rzekł powoli Cygan... jadę, zdaje mi się do Węgier, nie jestem jeszcze pewien... prawdopodobnie tam się obrócę. Mam tam osiadłych krewnych, którzy z koczującego taboru przeszli już pod strzechę domu nieruszającego się z miejsca... Chciałbym ich zobaczyć i przemówić swoim językiem do kogoś co by mnie zrozumiał. Ale się wlokę powoli, nic nie nagli... Dla mnie ojczyzna gdzie ciepło i wygodnie... kończył uśmiechając się... ojczyzna tak jak wy pojmujecie dla nas nie istnieje, straciliśmy nawet pamięć o niej, a od czasu jak-śmy się z niej wynieśli, ona się też tak zmieniła, żeby nas za dzieci nie uznała... Jesteśmy jak Epi-menides po długim śnie wracający na ziemię której zrozumieć nie może.

— Ja — podróżować jeszcze myślę po Włoszech



a zmierzam do Genui, odezwał się Niemiec krótko zbywając ciekawość kobiecą.

— Ja także, dodał Duńczyk żwawo...

— My podobnież, odpowiedzieli Rzymianie i Weneta.

— Co do mnie, rzekł Moskał... muszę się włożyć kędyś, bo na świętą Ruś wrócić nie mogę, aż... aż...

— Aż się tamtędy wprzódę burza przewali, przerwał mu Duńczyk — wszak toś pan chciał powiedzieć?

Rossyanin skinął głową potwierdzająco.

— Ja myślę też podróżować, szepnął Galicyanin, przecież Włochy widzieć potrzeba...

— Więc prawie wszyscy jesteśmy w drodze do téj Genui, dodała Włoszka, którą tak pięknie ale tak niecznośnie widać i widać prawie od Savony, a nigdy do niéj dojechać nie można...

— A! pani, na to się skarżyć nie godzi, odezwał się żyd — to całe szczęście nasze że zdala widzimy cele życia, a powoli iść do nich musimy. Ręczę że widok Genui i oczekiwanie jéj więcej warto niż ona sama... bo droga zachwycająca...

— Przebyłem ją pieszo do Marsylii, rzekł Polak, i cośbym także o tém mógł powiedzieć.

— A toś cudowną odbył podróż i w sposób najmiłszy, zawołał Duńczyk, czasem konieczność też jest dobrodziejką. Cóżbym to ja dał żebyś jak pan był zmuszony iść pieszo, ale musu nie było, a lenistwo przemogło.

— Słowem że pan wszystkiego zazdrościsz, począwszy od apetytu, rozśmiał się Żyd, a o nic się sam starać nie chcesz....

— To prawda, odparł Duńczyk, zazdroścę wam, zazdroścę, ale niczego bardziej nad młodość waszą!

— Droga w istocie zachwycająca, mówił dalej młody człowiek, można często było zapomnieć nawet o skwarze i głodzie. Zdało mi się idąc ponad tém lazuruwém morzem, że się tu kończy świat temi roztopionemi szmaragdami, opalami i szafiry, że po za temi czarownemi wody jest raj... kraina ideałów... jakaś atlantyda duchów, a jak wymowne to morze... i co za poeta z niego!!

— Poetą pono nie ono było, ale młodość twoja, dorzucił wzdychając Duńczyk, dla czegoż mnie nie śpiewało tylko o ostrygach i łososiach?

Włoszka się uśmiechnęła smętnie i szepnęła:

O primavera! gioventu del anno!

O gioventu! primavera della vita!

Pięknaż bo, nawet o głodzie ta życia naszego wiosenka — ale jak krótka! niestety!

Jeden z Włochów nie dając mówić kobiecie, pochwycony słowy młodego człowieka, rozgorzał miłością Włoch swoich.

— Nie dziwię się, rzekł, żadnej miłości ojczyzny, nawet u Eskimosów, ale nie pojmuje człowieka coby się w naszych Włoszech nie rozkochał.... Dajcie mi kraj taki drugi i pokażcie: pod nogami ruiny wieków wymowne, nad głowami takie niebo jak nasze, w koło takie dla oczów ponęty... i to powietrze co życie wlewa nawet w tych, co doń nie mają siły. Italia królowa świata! zrzucili jój z czoła diadem, ale czoło pozostało królewskie a tego jój nikt nie odejmie; skuli jój ręce barbarzyńcy... ale gdy strząśnie tylko dłońmi, opadną kajdany....

Znacie państwo piękniejszy kraj? powiedzcie.

— Ja go znam, odparł Polak chmurno. Szare ponad nim niebo, ziemia cała krwią przesiąkła, mogiły sterczą z przeszłości a nad niemi kwilą niemowlęta pokute w żelazne obroże... nie ma tam morza szafirów i wiatr powiewa zmrożony... ale to ołtarz ofiarny z końca w koniec... to ojczyzna moja!

Włosi skłonili głowę, cygan się tylko uśmiechał.

— Człowiekowi, rzekł, tu czy tam... wszystko jedno... życie krótkie, błysk i ciemności znowu z których wyszedł.... Serca nie trzeba oddawać nikomu i niczemu — nie warto.

— A! źle mówicie, zawołała Włoszka gorąco — tyle się żyje co sercem, reszta to gorzka owocu łupina....

— Trzeba nawyknąć żywić się łupinami, odparł cygan ruszając ramiony.

Na tę rozerwaną rozmowę wszedł służący dając znać towarzystwu do którego kobieta należała, że ich wettura była gotową; dodatkowo też przypomnieć się czuł obowiązany, iż dyliżans zatrzymujący się u wrót trattoryi, mógłby i innych do Genui zabrać podróżnych.

Jakoś nie w porę na rozżarzone uczucia padła ta kropla zimnej wody; znać to było po kwaśnych twarzach.

— Więc ta krótka chwila w której obcy spotkaliśmy się jak ludzie i pobratali tak miło, już przeszła, zawołała Włoszka z westchnieniem. Każdego znowu los w swoją pędzi stronę, jak galerników co mimo dozórce chcieli coś poszeptać z sobą.... Czy zobaczymy się kiedy jeszcze?

— My, to nie wiem, rzekł Francuz uzbrajając się znowu w lornetkę, ale z podobnemi nam typami w téjże formie odlanemi, mniej więcej szczęśliwie, spotkasz się pani nieraz jeszcze... Co do mnie, przekonany jestem, iż panią znałem dawno i że ją jeszcze nieraz zobaczę, choć może w mniej doskonałym od dzisiejszego odbiciu...

Myśl ta, trochę dziwaczna, nie bardzo była miłą Włoszce; spojrzała na Francuza z wyrzutem prawie, że ją wziął za coś tak pospolitego.

— Co do mnie, rzekła, ja poraz pierwszy spotkam pana w życiu i przyznam mu się, że...

— Nieradabyś pani widzieć mnie więcej? podchwycił.

— O! nie! odpowiedziała kobieta — zasmuca mnie ta wiara w typy nie w ludzi... bo któż z nas do drugiego zupełnie podobny?

— We wszystkich ludziach, rzekł Duńczyk-Francuz — jest w ogóle jeden człowiek — wierz mi pani. Jeżeli mi wolno dodać jeszcze słów kilka, powiem, że gubi nas ta wiara w różność człowieka; szukamy coraz innego do pary i do miary, a trafiamy zawsze na starego znajomego... który, między nami mówiąc — nie wiele wart.

— A może pan masz trochę słuszności, z we-

stehniem odparła Włoszka spoglądając z ukosa na Rossyanina, który uśmiechnął się smętnie, i na Galicyanina, nie zdającego się słuchać ani słyszeć rozmowy — ale, nie osmucajmy sobie życia... Do zobaczenia w Genui!

Wszak do zobaczenia? powtórzyła — jutro na przykład wieczorem! ale gdzie?

— A! to na *Aqua sola* — zawołał jeden z Włochów... gra muzyka... dzień podobno świąteczny... tam się najprędzej spotkać możemy...

Wszyscy wstali żegnając kobietę, która podała raz jeszcze rękę Polakowi, życząc mu lepszego zdrowia.

Zaraz też umniejszone już i rozerwane towarzystwo zabierać się poczęło do odjazdu...

Duńczyk jechał dyliżansem, Cygan dostał się do omnibusu, Włosi szli pieszo, Niemiec ekonomicznie przysiadł się do wozu gospodarza, w którym obok koszyków z pomidorami miejsce sobie zamówił.

— My, pojedziemy razem, odezwał się Żyd do Polaka, ja was samych już nie puszczę... mam najęty powozik wracający do Genui, zabieram was z sobą, choćby gwałtem.

— Na cóż mam być wam ciężarem? rzekł młody człowiek.

— Żadnym, zawołał Żyd rękę podając, owszem, będziecie mi pociechą — jestem strudzony samotnością, potrzebuję towarzystwa aby mnie własne myśli nie pożarły... uczynisz mi łaskę...

— Daleko większą wy mnie, bom nad wszelki wyraz zmęczony i słaby... prawdę rzekłszy, ledwie się już tu dowlokłem. Nie będę skrywał przed wami smutnego położenia mojego, na ciele i na duszy cierpię okrutnie.

— Podzielmyż wzajem nasze cierpienia, rzekł Izraelita — daj mi rękę bracie a nie trwoż się życiem. Jestem dziecięciem narodu który przed tysiącami lat pierwszy miał objawienie jedynego Boga... ja dziś jeszcze wiarę w niego zachowałem... gdy pono, do koła nas, w fatalność tylko lub w nic już ludzie zgola nie wierzą... Niech się i wasze serce znękanе otworzy, myśli o Bogu, o wielkich losach człowieka i ludzkości...

Wyszli.

Gospodarz stojący w progu z pewną pociechą wewnętrzną, ujrzał odchodzącego chorego młodzieńca, tém szczęśliwszy iż wszystko było opłacone sówicie, a nie wszystko zjedzone... wiele zostało do powtórnej reprezentacji obiadu...



Siadali do powozu, pożegnał ich uśmiechem mówiąc w duchu:

— To szczęście że się jacyś dobrzy ludzie trafili, na biedę niewiele potrzeba... Nużby był samą skronią uderzył się o ścianę, i... nużby się był za-  
bił, nużbym był ja zmuszony go chować! Wątpię  
żeby w jego tłumoczku tyle się nawet znalazło co  
na najskromniejszy pogrzeb potrzeba... A! a! niech  
nas Bóg od takich podróżynych uchowa... *Buon  
viaggio!*

---

Dosyć milcząco przebyli dwaj młodzi ludzie niewielką przestrzeń dzielącą Sestri od Genui, wśród której mieniają się prawie nieprzerywanym ciągiem idące osady jedna po drugiej, aż nareszcie po tych pstrych miejscinach, na których ścianach z całym swym dekoracyjnym talentem popisywali się Włosi, ukazuje się wpośród złomów skał brama dawniejszej twierdzy z patronką grodu N. Panną i na pniu kamiennym wysoka morska latarnia.... Otóż i port a po nad nim roztoczona wkoło na wzgórzach *la superba*.

Śliczneż to stare miasto piętrzące się wspaniale nad morzem we wschody, portyki, kolumnady, uliczki sięgające gdzieś do nieba lub spadające jakby wążkami rynsztokami w ciemne, niechlujne głębiny i pieczary.... Mino tych zakątów czarnych jest to miasto pałaców. Ale dziś ono podobne jest do konchy malowanej, którą morze na brzeg suchą wyrzuci, bo z niej wyleciało gdzieś żyjątko,

co ją życiem i krwią zbudowało, a zamieszkał jakiś wędrowny pająk lub szczątek zabłąkanego polypa lub gałązka algi zielonój.

Śliczny to jeszcze marmurowy gród, ale z téj konchy wspaniałej, świecącej wszystkimi barwami tęczy, wyleciało życie dawne: mieszka nowe, mniejsze i inne, któremu w starój skorupie niezupełnie wygodnie, znać że ją pożyczyło. Z kupiectwa i arystokracji, z tego burzliwego ludu genueńskiej rzezypospolitėj co czoło stawiał Wenetom, nic nie ma prócz kilku zeschłych gałązek i ruchomych nieco rozbitków. Nowe plemie, potrzeby, żywot, obyczaj.... Wszedłszy w cichy dziedziniec którego z pałaców Balbich lub Pallavicinich, jakbyś do marmurowego wszedł grobowca.

Wrą i szumią około portu Włochy nowe, odmienne, dorabiające się formy właściwej, innego bytu, równie burzliwie może jak stary połamały.

Powóz sunął się po nad portem ku miastu, gdy młody chłopak rękę położył na ramieniu swojego towarzysza i rzekł mu:

— Wysadź mnie tu gdzie, proszę.

— Jak to? dla czego? spytał żyd.

— Poszukam tu sobie bliżej portu schronienia.

— Ale ty jedziesz ze mną?

— Tak, przecież nie stoję z tobą, bo nie mogę, odparł młody chłopiec. Bądźmy z sobą otwarci, mówiłem ci, że zaledwie mam o czém odbyć resztę podróży; muszę naturalnie szukać jak najtańszego przytułku.

— Cóż znowu! zawołał towarzysz, przyjałeś wszakże moją małą i lichą, ale czystą braterską ofiarę, przyrzekłeś mi zostać ze mną...

Młody chłopiec potrząsnął głową.

— Ubóstwo, rzekł, ma swą dumę, jak czasem grzeczne bogactwo ma swą pokorę. Nie gniewaj się, niezależnym być pragnę. Mała to rzecz w brudnej przenoclegować izdebce i zbyć głód pokarmem lichym, ale zdrowo jest dla duszy być tym małym kosztem swobodną.

— Rozumiem to wszystko, odpowiedział żyd spokojnie, chwałę, szanuję, ale to tylko jest dobre gdy potrzebne. Nie znasz mnie, to prawda, przecież się młode dusze nie potrzebują wypróbowywać długo, by świeżym instynktem się przeczuć i spokrewnić. — Nie ofiaruję ci wielkich rzeczy, ale małe z dobrego serca; będzie ci ze mną znośnie — to dobrze, nie — to odejdiesz... nie zmagam się na ofiary nadzwyczajne dla ciebie, ani cię zwiążę wdzięcznością upokarzającą... zapraszając z sobą

na nocleg choćby jeden i wieszczę.... Słuchaj, dodał, nie droż się z tém, mam się z czém podzielić bez uszczerbku dla mnie. Czynię to ze szczerego serca, bez odrobiny dumy, tak, prosto — jak mówię. Dopowiem ci nawet myśl moją całą... jestem stęskniony, potrzebuję się wygadać, samotność mnie nęka, zrobisz mi łaskę większą niż ja tobie, jeśli zostaniesz ze mną.

Nie trwoż się znowu ani tym obowiązkiem bawiciela, ja cię bardzo nie znudzę... ale sam przynajmniej nie będę... Zajedziesz ze mną do hotelu... no, a potem uczynisz co ci serce podszepnie.

— Byłbym już śmiesznym, gdybym odrzucił taką pocziwą, szczerą ofiarę, rzekł młody chłopak — nie miej mi tylko za złe téj dumy ubóstwa... mógłbym łatwo trafić gorzej.

Żyd się uśmiechnął.

— Pocziwe to uczucie, rzekł, znam je, ale jakże smutnie świadczy o dzisiejszym świecie!!

— Do hotelu Federa! zawołał wychylając się woźnicy.

Hotel Feder stary to także jakiś pałac przerobiony na gospodę, jak prawie wszystkie genueńskie, weneckie i wielu innych miast włoskich obe-

rze. Dziwnie wygląda z tą fiziognomią na pół starą, pół świeżą, z dziedzińcem opuszczonym, ciemnym o wyschlęj rokoko fontannie w głębi, z uliczką gwarną pod oknami i z ciupkami swemi poprzerabianemi na numera.

Musieli wdrapać się aż na trzecie piętro do pokoju o dwóch łózkach, z którego widok był na dachy, na port masztami statków jak ogród tyczkami chmielu zasadzony i klinek jasnego morza w dali.

Czas było spocząć strudzonemu którego pocziwy izraelita wziął w opiekę; zaledwie bowiem weszli po wschodach, upadł na siedzenie i po bladości jego wnosić było można, że znowu zemdleć był gotów. Ale trochę wódki kolońskiej orzeźwiło go, a gospodarz kazał podać herbatę i przekąskę, przeczuwał bowiem, że w téj słabości był jeszcze ukryty głód. Tak po części było w istocie: zaproszony w Sestri obawiał się jeść ze wstydu — potem znuzło go jeszcze gorąco... dopiero lepszy, obfitszy posiłek go pokrzepił i siły przywrócił.

— A teraz, zawołał pilno nań zważając Żyd, spocznij w krzesle, lub, co lepiej, połóż się i zaśnij trochę.

— Pozwolisz? spytał młody chłopak nieśmiało.

— Ale rób, proszę, co ci się zamarzy, przerwał gospodarz, byleby ci z tém było dobrze.

— Szedłem spiesźnie, bardzo spiesźnie, rzekł młody chłopak, dni kradnąc sam przed sobą... wstawałem rano, w dzień jakoś zasnąć mi było trudno... teraz po trochę obfitszym pokarmie, mimowolnie oczy mi się kleją... napojony, syty, straciłem resztę sił...

— Więc do łóżka!

— A wy?

— O! ja... to co innego! pójdę jeszcze miasto zobaczyć jak wygląda wieczorem, przeszkadzać ci nie będę. To mówiąc podał mu rękę, wziął laskę i kapelusz podróżny i wyszedł spiesźnie. Jak bezwładny padł na posłanie młody chłopak i ledwie głowę doń przyłożył, zasnął twardo. Młodość ma tę siłę potężną do odzyskiwania strat poniesionych; w starości znużenie już jest tylko trawiącą gorączką bez pragnień, bez żądz, bez odrodzenia...

Ryk straszliwy osłów w porcie, których stu na raz odezwało się pod oknami przybyłych, zbudził nareszcie z głębokiego snu młodego podróżnego, który z razu opamiętać się nie mógł gdzie się znajdował. Otworzył oczy, obejrzał świeże i piękne posłanie, nie mógł pojąć jak się w tak czystym i sto-



sunkowo wykwintném mieszkaniu przebudził. Przywykł już być do brudnych izb tych lokand i albergów gościńca, w których trzeba być młodym, by mieć odwagę położyć się i spocząć.

Na stoliku stało już przygotowane śniadanie, a towarzysz jego zabierał się doń wesoło i obojętnie, powróciwszy już z morskiej kąpieli.

— A! czyż to już tak późno? zawołał porywając się zasnęty.

— Nie, ale ja wstał trochę wcześniej aby z rannego chłodu korzystać. No, jakże się spało?

— Nie wiem.

— Jak to?

— Byłem kamieniem... nie drgnąłem noc całą... wstaję jakem się położył, nie zmieniawszy miejsca, nie poruszywszy ręką... spałem jak śpią umarli.

— Jak się czujesz dziś?

— A! olbrzymem!... odrodzonym dzięki tobie....

— Ale ba! dzięki młodości! A głowa?

— W téj chwili reszta dymów sennych i mgły się rannéj rozprasza.

— Więc żywo, na nogi i do śniadania.

— To najgorzej, przerwał wstając podróżny, że ty mnie popsujesz na nic, kochany amfitrjonie.



I spojrzawszy na zastawiony stół pochwycił się za głowę.

— Jest to śniadanie rozpustne! Lukullów, Sybarytów... ludzi zepsutych.... Od bardzo, bardzo już dawna przywykłem o szklance wina kwaśnego i chleba kawałku z sérem duie rozpoczynać, temiż przysmakami je kończyć. Rozpieszczę się, a nam, nam się pieścić nie wolno, jam sierota, którego ani los ani ludzie nie przytuliły nigdy do macierzyńskiego łona... i nie przytulą... należę do narodu ciężko wypróbowanego i wielkie na barkach dźwigającego obowiązki.

— Wszystko to dobre, ale bądź co bądź, możesz dla tego śniadanie zjeść, rzekł śmiejąc się Żyd, ja także należę do narodu nie najszcześniejszego... a jeść mi się chce i dam ci przykład.... Siadaj, poznamy się dziś lepiej!

— Tak, to prawda, że wartoby się poznać lepiej, przerwał młody człowiek, wszak wczoraj nie powiedzieliśmy sobie nawet nazwisk naszych....

— A więc... mam honor się panu przedstawić Jakób Hamon, żywo i wesoło odparł Izraelita — ciekawym co cię to nauczy.

— Mnie między poufałymi przyjaciółmi zwano Iwasiem, w istocie zwę się Jan Huba... a nie e,

bobyś mnie zrobił Niemcem. Imie to nauczy cię, jeśli znasz kraj nasz, że muszę być z Rusi. Hubą nazywa się grzyb, więc to coś nakształt pana Grzybowskiego lub Grzybowicza.... Daléj ta Huba przyrosła nam widać do nazwiska Pstrockich starodawnego, z którem przed wieki przyśliśny ubodzy Mazurowie na Ruś obfitą i bogatą pracować w jéj lasach i czarnoziemie na kawał chleba.... A więc w całości brzmi to: Jan Huba-Pstrocki, ex Masovia olim oriundus in Russia possessionatus et natus.

— Masz tam rodzinę? zapytał żyd.

— Żywéj duszy, nikogo, ani nawet majątku który niegdyś tam posiadaliśmy... jestem najzupełniejszym sierotą, w całym znaczeniu tego wyrazu. Ojciec mój podupadłszy, trzymał dzierzawę małą na Wołyniu, klęski elementarne pozbawiły go ostatniego grosza, zmarł zostawując mnie na łasce ludzi.... Byłem naówczas małym chłopięciem, oddawano mnie do szkół przez miłosierdzie, przeszedłem krwawe próby, a jeślim się odrobinę nauczył, nikt temu nie winien prócz mnie samego. Skończywszy szkoły tak samo o łasce ludzi miłosiernych i przyjaciół młodości dostałem się do wyższego zakładu naukowego.

— Dla czegoż uciekłeś z kraju?

— Dla tego że u nas studenckie błędy karzą się jak zbrodnie skoro w nich nos gorliwych dowącha się politycznego swędu... dla tego że wiersz o miłości ojczyzny Krasickiego opłaca się wygnaniem wiekuistem, dla tego że ludziom krwi polskiej kochać ojczyzny, przeszłości, wiary i pamiątek własnych... nie wolno... dla tego że ci którym wzbrowniono oddychać muszą szukać powietrza, choćby ściany dziurawić mieli...

— Zawsze, zawsze też sama choroba narodów uciśnionych, odezwał się Izraelita — gdzie starszym wydarto wszelkie prawa, tam młódz się ich dobija na drogach młodych... i przypłaca gorączkę nieopatrzna... jak ty, wygnaniem, nędzą, często życiem...

Westchnęli oba...

— Jakże teraz myślisz powrócić do kraju, kiedyś go opuścił bezprawnie? zapytał Izraelita po chwili.

Iwaś się na to uśmiechnął boleśnie.

— Alboż wiem! rzekł powoli — to wiem że się tam dostać muszę; wiem że śmiertelna tęsknota do kraju mnie pędzi; że wśród obcego mi świata żyć nie umiem i nie mogę, że wygnanie dłuższe

fizycznie i moralnie niepodobieństwem stało się dla mnie.

Inaczéj, inaczéj dawniéj marzyłem o świecie; wyszedłem z piersią pełną wiary że wszyscy tak pragną swobody, światła, szczęścia i zgody, prawa i sprawiedliwości jak my... jak ja. Wpadłem w bezdenną społeczność jakiej pojęcia nie miałem; w pośród której nie ma miejsca dla marzycieli i wygnańców, gdzie nikt konającemu nie poda ręki, jęczącego nie pocieszy, obłąkanego nie przygarunie... potrzeba więc powrócić choćby mnie tam zamęczyć miano, choćym na zimne poszedł wygnanie daleko, bo tam są jeszcze serca cieplejsze... tam cierpieć przydało się na coś. Świecie znoszone cierpienie nawraca, kiedy tu męczennik śmiesz... gdy tu nędznym choćby najświętszym gardzą... A! bracia, bracia! co się stało z Europą? dokąd idzie świat?

— Europa zestarzała i lęka się grzmotów, rzekł żyd powoli... albo raczéj świat znużyli szarłatani wszelkiego rodzaju, którzy boleść i męczeństwa odegrywali dla... pieniędzy. Dla tego dziś nawet język prawdy stał się niezrozumiałym lub śmiesznym. Ostatnie kilkadziesiąt lat młodocianych zapalów ludzi zużyto na korzyść zręcznych i ambi-tych szalbierzy. Czyż nie spekulowano, jak Bar-

num na starą mamę Washingtona, na miłości ojczyzny, swobody, na entuzjazmie dla wolności i braterstwa? Na stu krzykaczy nie było i jednego męczennika, wyciągano pieniądze pod rozmaitemi pozorami, korzystano z zapalów, i w końcu ciepło dusz ludzkich wystygło do ostatniej isierki. Dziś świat spoczywa zgnębany w sceptycyzmie; w nic nie wierzy; bo widział swobodę rozradzającą się w anarchią, braterstwo spekulujące na własności, rewolucją służącą za podnózek ambicji ludzi fałszywych i apostołów wyciągających grosze najgorętszymi kazaniami. Trzeba poczekać, ludzkość wypocznie i poprawi się.

Mówili tak a słońce podchodziło do góry a skwar coraz większy wyjść nawet na miasto pomyśleć nie dozwalał, zapuszczono więc firanki, zasłonięto sztory, pozamykano żaluzje i dwaj nowi znajomi siedli gwarzyć w chłodzie oczekując wieczora.

— Słuszna jest, rzekł po chwili żyd, abym i ja ci się dał poznać. Rozumiemy się dobrze, lecz położenie moje wyjątkowe wymaga abym cię z niem oswoił. Spodziewam się że poczęta pod Genuą znajomość nasza w Genui się nie skończy... powiesz mi o sobie więcej, ale przyzwoitość wymaga, abym

ja wyznaniem szczerem drogę ci otworzył. Jest to dług który spłacam zawiązując się przyjaźni...

Zamilkł i dodał po przestanku.

— Powiedziałem ci już że jestem żydem... w tym wyrazie zamyka się poniekąd wszystko, on wypowiada los, on dozwala odgadnąć charakter do pewnego stopnia. Ze znanych przyczyn muszą się rodzić skutki pewne, nieuchronne...

Żyd, nawet dziś gdy przestał być wygnańcem i parją społeczeństw, jest jeszcze tajemnicą, jest zawsze zagadką. Nosi on na czole przed kilką lat tysiącami wypisany wyraz na szczególne namaszczaający go przeznaczenia, na posłannictwo cierpienia, pracy, upokorzenia, upadku i z otchłani najczarniejszej dźwignienia się do najwyższej potęgi... Nie dawno jeszcze parja dziś jest bezimienną władzą, trzęsącą całym światem, buduje i obala trony... włada rządami, stanowi prawa... rozkazuje niewidomy i... nie wie sam do czego zmierza, dokąd idzie...

Bądź co bądź, z chlubą powiadam ci, przywiązując do tego wyrazu znaczenie wielkie — żydem jestem!

Znałeś żydów w kraju naszym, ale nie po sze-



rokiem świecie, więc tylko jedną cząstkę ciemną ogromnego rozproszonych obozu...

Żyd dla całego świata długo był wyrazem pogardy; niezrozumiały i niezrozumiany, odłączony i odłączający się od społeczeństwa, stał sam jeden pragnąc i starając się o jedno... żyć i trwać... obronić się napaściom, nie zginąć. Wyznaczony na zagładę a czując się piastunem wielkiej idei Bożej — usiłował ją przechować i siebie jako jej naczynie. Świat który nie dorósł do wysokości jego tysiącletniego męczeństwa, był dlań tak pogardy godnym jak on pogardzoną istotą dla świata.

Zdeptanie i krzywda domierzona nam utrzymały nas i podniosły; jesteśmy wymownym, żywym dowodem siły ducha, wzmagającej się uciskiem, rosnącej wśród najdzikszych, wrogich zapasów...

Dziś powoli rozstępuje się świat przed nami, choć jeszcześmy do rodziny wielkiej narodów z zupełną równością praw nie weszli — jeszcze ona nas a my jej nie pojmujemy.

Szkalowano w nas wszystko poczynawszy od nauki, której główne źródło było nam przecie z chrześcianami wspólnem; nie rozumiano tradycyi naszych, prześladowano za to żeśmy się wyrzec siebie nie chcieli.

Tych lat tysiące niewoli i niedoli, pogardy, niesprawiedliwości, znęcania, uczyniły dobrych prawie świętymi, złych przerobiły na szatanów. Musieliśmy się bronić. Świat widział tylko złą stronę którą obrócenie ku niemu, jak lwica broniąca dzieci, pokazywaliśmy i pazury ostre i krwawą paszczkę.

Przebacz, mówił zadumany Izraelita, zapominam o sobie mówiąc o żydach, czuję się członkiem tej wielkiej rodziny na której czole palec Mojżeszów wyrzył tajemnicze imię

*Jehowy...*

Wprzód nim sobą, muszę być żydem. Z dumą powtarzam: żyd jestem... w tém słowie skupiają się bole lat tysięcy.

Potém najpierwsze prawodawstwo ludzkości godne człowieka.

Pierwsza moralność, pierwsza — jeszcze do dzisiaj nie dobrze pojęta idea — niezłomnego, żelaznego prawa rządzącego światem, — prawa pochodzenia boskiego.

Dziesięcioro przykazań nadanych na górze Sinai, tablice te wyrażają wielką myśl prawodawcy z ramienia Bożego — że ludzkość cała podlega niewzruszonemu prawu... że każdy czyn człowieka w na-

turze swój ma zaród nagrody lub kary... której nie odwrócić nie może.

Jak jeden, wiekuisty jest Bóg, tak jedno prawo jego wieczne...

Pomyślcie że narodowi naszemu objawił się Bóg jeden i to prawo jedno naówczas gdy inne błędziły po bezdrożach polytheizmu i anomizmu\*) (jeśli się tak wyrazić godzi) że myśmy powierzonom sobie mieli piastowanie wielkiej idei, świętego ognia, który przez tysiące lat ani na chwilę nie powinien był wygasnąć.

Tu zatrzymał się młody człowiek zarumieniony i przejęty, i jakby mu się wstyd zrobiło zapалу z którym wyrzekł te słowa, ciszej już ciągnął dalej.

— Wygnańcy, poszliśmy po ziemi siać ideę Bożą — źle mówię, pielegnować ją tylko... Nie czyniliśmy prozelytów od dwóch tysięcy lat, chowaliśmy nasz skarb dla siebie. Świat szedł, żył, walczył, pracował, a myśmy zasklepieni nad naszą spuścizną, w niej mieli wszystko...

Z obawy, z nędzy i utrapienia tę ideę okryliśmy dziwnymi łachmanami i pstrocizną... to rzecz czysto ludzka...

---

\*) Bezprawia.

Znaną ci jest, przynajmniej w ogólnych rysach historia nasza, od czasu gdy nad nami chrześcijański świat zawiesił przekleństwo, gdy poczęła nas ścigać potwarz, wszelkiego rodzaju ohydy, prześladowania i katy, gdy nas z rodziny ludzkiej wyłączono za miłość naszego Boga, naszego prawa i naszej ojczyzny. Można odgadnąć te wieki prześladowania lecz któż je opisać i opiewać potrafi? W obec tych nieludzkich dziejów usta ludzkie nie mają wyrazów, głowa myśli — językowi brak dźwięków.

Ale po wiekach ucisku... czytasz jego skutki na nas... myśmy nim napiętnowani wszyscy... Ludzkość uczyniła z nas dzikie zwierzęta broniące życia od napaści; — instynkt nas związał w jedno ogromne spójne ciało, które teraz siecią opasało świat cały. Broniąc się nabyliśmy sił którychbyśmy nie mieli gdyby nas nie ścigano... nabyliśmy cnót uciśnionych, pokory dumnej aż do wzgardy, milczenia rozumnego przybierającego maskę głupoty — jedności nierozzerwaną a niedostrzeżoną, rachuby jaką wlewa niebezpieczeństwo... poświęcenia jednych dla drugich... W tłumach obok cnót uciśnionych, wyrobiły się też uciśnionych nałogi, wady... występki.

Wśród ogromu narodów, wśród ruchu téj żywej fali opływającej nas zewsząd, myśmy oddzieleni, niezmiészani, uchowali się narodem odrębnym, noszącym swą ojczyznę w piersiach, ze sobą wszędzie; w księdze modlitw, w obrzędzie pobożnym, we wszystkich najdrobniejszych życia przygodach. — Do każdéj z nich przywiązane było wspomnienie, obchód, modlitwa uprzymiastająca nam Boga, którego usta ludzkie wymówić nie śmieją, i Judeę naszą...

Miliony istot rodziły się i umierały nie widząc jéj a kochając ją jak matkę, miliony odbywały te obrzędy machinalnie których ducha ledwie które pokolenie i umysł odgadnął. Tak, z prawem Mojżeszowém potrafiliśmy się ostać po dziś dzień.

Donieśliśmy je aż do progu nowéj epoki... ale tu, lękam się, niestety, byśmy drogiego nie zrzucili brzemienia.

Żydów już się w historyi uczyć potrzeba, idea żydowska prawie znikła ze światem który ją prześladował. Przewędrowałem Europę i uląkałem się o nią — jesteśmy pono strupieszałą także arystokracją Bożą... Boga zrzuconego z tronu przez obojętność ludzką, i prawa obalonego szyderstwami rozumu, który niszczyć tylko umie i wywracać.

Tu znowu przerwał sobie Izraelita pocierając czoło, dwie łzy jasne miał na powiekach.

— Przebaczę, rzekł — płacząc się, piersi mam pełne, bezładnie z nich płyną uczucia; miałem ci mówić o sobie a plotę o narodzie naszym... lecz jakże siebie wydzielić z niego, będąc żydem?

Powracam, spróbuję przynajmniej powrócić do mojego życia i doli.

Urodziłem się w ubóstwie wielkiem... w jednej z tych rodzin żydowskich rozsianych licznie po wsiach polskich, których przeznaczeniem było ród tylko uchować, powtarzać prawa literę nie rozumiejąc jęj, wypiastować pokolenia przyszłe do losów nieznanych nikomu prócz opatrności.

Znasz czém było życie żyda w dawniej Polsce, boś mu się pewnie przypatrywał; wśród społeczeństwa waszego zorganizowanego dziwnie, zasklepionego w jednej narodu klassie, piastunce idei narodowej, żywota narodu i losów jego.

Całym grzechem téj naszej Polski, którą i ja tak kocham jak wy ją kochacie, nie to było może co jęj wrogowie zadają, ale jedna ze starożytności, z dziejów, z przeszłości wyrwana idea stara, której w porę rozszerzyć i odrodzić nie umiała.

Nie było rozmiłowanych więcj w godności czło-

wieka i swobodzie narodu, nad Polaków — ale ze ślepotą starych Rzymian człowieka widzieli tylko w szlachcicu, jemu oddali posłannictwo narodu, a nie domyślali się długo że prawodawstwo nowe które Chrystus przyniósł — wszystkich ludzi dopuszczało do wszystkiego, nikogo nie pozwalając czynić ofiarą i podnożem bezwładném.

Widzisz że chociaż żyd nowego prawodawcę uznaje.

W organizmie staréj Polski na wzór pogańskich państw zbudowanéj, szlachcic był apostołem, kapłanem, stróżem ogniska, obrońcą zarazem, on prawo stanowił, tłumaczył, strzegł od zagłady, bronił od napaści i ręką najemnym nie powierzyć nie chciał... dla tego cała reszta narodu jemu podlegać i służyć musiała.

Była to długa omyłka klasyków zakochanych w starożytności do bałwochwalstwa. Tak ja to sobie, jako żyd a Polak tłumaczę. Polska jak rzeczpospolita wenecka, nie umiejąc się zawczasu zreformować, wołała zginąć niż szukać nowéj życia formy i swobodę drogą oddać straży — wszystkich. — Ja — w tém spotwarzonym życiu waszém, jak w naszym własném, widzę wielkie blaski; sądząc je zimno, łatwo z niego szydzić, kochając potrzeba



plakać nad tą epopeją przeszłości — epopeją homeryczną, której ja tylko znam pourywane szczątki.

— Stój! rzekł młody chłopak marszcząc się, jesteś synem epoki, nie uniewinniaj przeszłości.

— Tyż to mówisz? spytał żyd.

— Tak, ja, Polak, odparł Iwaś — alem ja urodził się w czasach, w kraju, wśród idei nowych — przeklinam najpiękniejsze, najświetniejsze naszych dziejów chwile, bo je posądzam o przyczynienie się do zguby naszej....

Patrz, dodał, jak to jest charakterystyczném, potomkowie tych co stali na straży swobód przez długie wieki, my dziś wszyscy do jednego, co widzimy w dziejach naszych?? z jakiego stanowiska wyrokuję o nich krytyka historyczna dzisiejsza? potępiamy li jedno — to tylko co wzmocnieniu królewskiej absolutnej władzy stało na zawadzie!! Najwięksi królowie w przekonaniu dzisiejszej generacyi są ci co się kusili przeciwko szlachcie o skupienie rządu w swych rękach, o wywrot instytucyi będących źrenicą swobód rzeczypospolitęj! jedna myśl te pokolenia nowe zajmuje; zaślepia... zguba kraju. Nie idzie nam o to czyśmy powierzoną nam ideę wykołysali i wykarmili do ostatka, idzie dziś o to żeśmy dla niej padli ofiarą....

— Masz w tém słuszość, rzekł żyd, ale boleści dzisiejszej przebaczyć można tę jednostronność sądu. Ja, chłodniej może patrząc na Polskę i jej losy, z tego com czytał, słyszał i widział, mam jej obraz pełny w sobie, dziwny, straszliwy, dziki czasem, wielki i wspaniały zawsze. Któż więc nad żyda miałby prawo sarkać i uskarżać się na szlachtę polską — ja ją zimno rozumiem, tłumaczę sobie i przez rysy dziwaczne które przeszłość nakreśliła... przeglądam aż do oblicza nadziemskiej piękności...

— Pomówimy więc o tém inną razą, przerwał młody chłopak, ale zaprawdę jest w tém coś osobliwego, że ja, szlachcie polski potępiam tę przeszłość, którą ty polski żydzie osłaniasz i bronisz.

Uśmiechnął się Jakób i rzekł:

— Jam dużo starszy od ciebie, bracie mój, zestarzyło mnie cierpienie, praca, myślenie... może boleści pokoleń, które we krwi mój noszę...

— Dobrze, ale mówże mi o sobie, przerwał zniecierpliwiony Iwaś.

— Powoli, pomału, ja inaczej nie potrafię, odparł Jakób — będziemy iść po tej kamienistej drodze jak mineralogowie wśród gór, ilekroć na ciekawą natrafimy skałę, młotkiem ją naszym rozbić

musimy... aby dobać się jej środka... Czasu mamy dosyć, a na *Aqua sola* przyjdziemy zawsze w porę.

— A! prawda! nieiliśmy się tam spotkać z moją piękną wybawicielką, co mi jak Samarytanin skroń spaloną zwilżyła....

Żyd się uśmiechnął znowu.

— Tak, tak, z tą Włoszką która ci czoło oblała wodą a może serce płomieniem... ale między wczoraj a dzisiaj jest przepaść... Któż wie ilu z nas się znajdzie wiernych słowu w ogródku na *Aqua sola*?

— Myślisz! spytał młody człowiek.

— Nauczyłem się już w życiu nie wiele rachować na przyrzeczenia które dopiero we dwadzieścia cztery godziny spełnić się mają, a nic na te których urzeczywistnienie rozłożone jest na tygodnie.

— Ale do wieczora daleko! zobaczmy!

— Oj daleko! mów dalej! zawołał Iwaś, słońce pali... wyjść niepodobna... słucham!

— **K**omuż nie miłe choćby boleści młodych wspomnienie? mówił Jakób, zaprawdę nie pochłubię się ja szczęśliwemi latami dzieciństwa... ale mi ich pamięć jeszcze łączy z oczów wyciska, i powtarzam co napisano w księdze Sabbath (152) — ucieka ona i nie powraca. Młodość jest kwiatów wieńcem, starość jest cierniów koroną. (Sabbat.)

Nawet w porównaniu do dni dzisiejszych pełnych sił i jasnego pojęcia świata, te lata kwieci sto ku mnie patrzą, choć były bardzo straszniemi.

Rodzice moi, choć pochodzili z rodziny niegdyś znacznej i majątniej, od kilku pokoleń wszakże rozrodzonej i podupadłej, zeszli byli na najostateczniejszy szczebel w naszym społeczeństwie, zarabujących po wiejskich gospodach, lichym handlem nieszczęśliwego trunku, przyjmowaniem podróźnych i małemi obrotami w sprzedażach wołów i zboża. Powiem ci jaśniej, ojciec mój był prostym wiejskim arendarzem, nie bardzo nawet zamożnym. Człó-

wiek to był spokojny, bogobojny, lubiący swe księgi i nie bardzo umiejący dozierać ziemskiego interesu, któryby bardzo szedł źle, gdyby go w tém nie wyręczała matka nasza. Była ona drugą żoną Joela ojca mego. Pierwszą stracił rychło i nie miał z niej tylko jednego, już dorastającego syna, gdy ja na świat przyszedłem. Joel stary był posepny, milczący, zamknięty w sobie, zadumany; myślał o nieziemskich sprawach i wzdychał tylko nad tém, że się ich rozpamiętywaniu całkiem nie mógł poświęcić. Szanowano go powszechnie z nauki, ale w rodzinie ubolewano nad nieudolnością do handlu i robienia pieniędzy, które były u nas kwestyą życia.

Jest i było dawniej u żydów tradycyjnym obowiązkiem zbieranie grosza, dziwić się temu nie potrzeba. Egoizm ten musiał się rozwinąć początkowo nie skutkiem charakteru narodu; ale jego położenia i życia warunków. Żyd długo był istotą wykluczoną ze społeczeństwa, której żadne prawo nie przysługiwało; dawano żydom przywileje drogo okupywane, ale sądy, rządy, duchowni, władze w każdej chwili odwołać je, zawiesić lub całkiem mogli nie spełniać... Gdzież się było skarżyć? komu uzalić?

Żyd szukał opieki, obrony, ratunku w groszu którego potęga nie znała ateuszów... było to i jest bóstwo czczone powszechnie przez wszystkie narody. Musieliśmy skarbić ten grosz, bo w nim zamykało się dla nas wszystko: sprawiedliwość, powołność, względy, łaski, poważanie... wszystko to kupować sobie musieliśmy, bo darmo nic się nam nie należało.

Ubogiego żyda nic nie broniło, prócz gminy do której należał; chrześcijanie przez wieki znęcanie się nad nimi mieli za jakąś praktykę religijną, za środek nawracania, za zasługę przed Bogiem.

Mszczono się na nas za Chrystusa, który przecież był żydem jak my... i przebaczył swoim nieprzyjaciółom...

Nie jeden co łamał wszystkie prawa swojej wiary, rehabilitował się, sądząc że dręczeniem żydów grzechy swoje okupi.

Musieliśmy więc przywiązywać się do grosza, bo grosz był jedynym wiernym naszym opiekunem i obrońcą.

Mylą się bardzo ci co utrzymują że jakieś prawa starodawne, pierwotne przepisywały nam chciwość; zrodziła się ona z konieczności. Najpierwsze i jedyne prawo nasze, Mojżeszowe, zabrania naj-

wyrażnieć odsetków brać od pożyczonego grosza: — „Jeżeli pieniędzy pożyczasz ludowi memu ubogiemu który mieszka z tobą, nie będziesz mu przynaglał, jako wyciągacz, ani lichwami uciśniesz.“ (Exodus XXII, 25.) — Przypuszcza wielu, że w Deuteronomie, gdzie jest uczyniona różnica pomiędzy pożyczką obcemu a swojemu, słowa: „ale obcemu“ zostały wciśnięte w interesie handlu Izraelitów z Tyrem i Sydonem. Cytuję ci prawa i muszę dotknąć téj kwestyi, bo żaden zarzut tyle nam nie ciąży co lichwa i przewrotne środki dorabiania się grosza.

Ale cóż nas uczyniło przewrotnymi?... ucisk! instynkt zachowawczy w miarę zwiększającego się prześladowania budził do poszukiwania środków obrony wszelkich jakie były możliwe. Opasano nas murem oddzielającym od świata, cóż dziwnego żeśmy w sobie i dla siebie tylko żyć musieli? Logicznie była to konieczność niewoli narzuconej nam, która wyrobiła, nadała nam ten charakter.

Mówię ci o tém długo, dodał Jakób, bo mi to ciąży.

Tak jest — w cielca złotego uwierzyliśmy, bo on jeden miał siłę kruszenia kajdan naszych, łagodzenia nieznosnej doli. Ale żyd zamknięty w so-



bie, dla swoich i w swój gromadce, dla swego rodu i ludu nigdy skąpym i chciwym nie był.

Tłumaczę przeszłość, nie uniewinniam jej. Joel ojciec mój nie miał sobie do wyrzucenia by się cudzém mieniem z bogacił, bo w końcu i swoje dawniej przyzbierane postradał. Myśląc o Bogu, zanurzony w poetycznych i mistycznych swych księgach, gardził ziemią.

Wszystkie starania i troski spadały na matkę naszą, znacznie młodszą wiekiem i niespokojną o przyszłość. Jam był najstarszy z rodzeństwa, po mnie szły dwie siostry, brat z drugiej matki dorastał.

Gospodarstwo to nasze wiejskie składało się z dzierżawionej przez nas od bardzo dawna wielkiej gospody na gościńcu ożywionym i uczęszczanym; w której tylko z naszą młodością usnąć było można, a ze spokojem duszy ojcowskim pracować i myśleć. Matka i dwie sługi zamęczały się pracą nastarczyć nie mogąc przejezdnym. W istocie byłaby to może dobra dzierżawa, mimo współzawodnictwa drugiej sąsiedniej karczmy znacznie lichszej, gdyby nam cokolwiek los sprzyjał.

Ale to co się zarabiało na wódce, sianie i owsie, nieszczęśliwe handle większe zjadały. Ojciec,

nawet we wspólkach z najbieglejszymi handlarzami skór i bydła, zawsze najgorzej wychodził. Przyszło do tego że to przypisywał weli Bożej; ale matka gryzła się nad miarę.... Ubożeliśmy widocznie, zastawiono jej perły, sobole ojca i suknie i co tylko było w domu kosztowniejszego.

Dziedzic dworu i karczmy był szlachcic ktorego mało co pamiętam; wyglądał otyły, barczysty, śmiejący się, wesół, miał minę hulacką, był dosyć dobrego serca ale grosz trwonił straszliwie, potrzebował go nieustannie, marnował niesłychanie, a o jutro wcale nie dbał byle dziś wesoło przeszło.

Mieliśmy więc z nim biedę, mimo że niezły był człowiek. Ile razy dano znać ze dworu że pan Micuta prosi Joela do siebie, matka płakała, bo pewnie nie o co innego szło tylko o pieniądze.

A tych i u nas nie stawało.

We dworze położonym o dobre pół mili od owego gościńca rzadko się trafiało żeby kogo nie przyjmowano. Gdy się pan Micuta sam jeden został na pół dnia, już mu było nudno; jeśli się nikt na horyzoncie nie pokazał, zaprzęgano i wyruszało do miłych sąsiadów w odwiedzinę. Dobrze człeczysko, śmiejące się, ochocze, ale stary dzieciak ze psuty. Żona jego jak matka nasza płakała a pła-

kała, ale poprawić go nie mogła, kochała go z jego wadami. Dla niego zkąd wziąć to wziąć: byle się wesoło zabawić, a gdy mu ruinę majątku przedstawiano, odpowiadał: „Ale ba! mospaneńku... więcej ma Pan Bóg niż rozdał! pan panem będzie....

— Takich temperamentów u nas, przerwał Iwaś, nie potrzeba było szukać ze świecą... miał pana Micutę podobnego każdy powiat i okolica.

— Bywało, mówił dalej żyd, gdy po Joela przysła ze dworu z jednej strony, z drugiej śle po matkę moją pani Micucina i pozwawszy ją do siebie prosi i zaklina, aby mąż jój pieniędzy jegomości nie dawał. Ale jak było oprzeć się panu Micucie gdy począł ścisnąć, prosić, zaklinać, męczyć, namawiać i przysięgać się... Joel musiał być posłusznym, a cokolwiek bądź dał, wszystkiego mu było za mało...

Na nieustające bankiety ryby, mięsa, cukru, korzeni, wina, przyborów było potrzeba bez końca; rachunki rosły, kwitki się ściagały na sznurek nieopłacane i nieprzyjmowane w ratach: przychodziło opłacać, wymagano gotówki, przyrzekano procenta, nareszcie żyd stawał się nieznośnym, bo upominać się musiał.

Jam naówczas ani widział ani wiedział o tém

co się działo, anim pojmował to położenie; opowiadano mi później. Patrzałem wielkimi oczyma na świat Boży i dziwnie mi się wydawał. Karczma stała na trakcie ludnym, który był zawsze pełen przejezdnych... przytykała ogrodem do dębowego lasu, gdzie się ja przysłuchiwał gwarowi ptastwa i szumowi drzew starych. — Alem się naówczas jeszcze nie mógł pokochać w naturze, tłum przepływającego ludu głównie mnie ciekawił. Nie każdemu dziecięciu dano rosnąć w takim gwarze, wśród obcych, coraz nowych, przesuwających się tylko i niknących twarzy.

Musiało to podzielać na mnie; ledwie pojmować coś zaczął, wiedziałem już jak świat był ludny i że ten tłum cały prawie sobie był obcym i nieprzyjaźnym... poczułem że ocierając się o tyśiące, z kilku tylko istot wybranych mam czerpać życie i szczęście.

Świat naprzód objawił mi się jako nieprzyjaźny i złowrogi...

Nie wiele też w pierwszych tych latach zwracano na mnie uwagi, matka na której głównie spoczywało gospodarstwo, rachunki, dom, kuchnia, dzieci, bo ojciec siedział nad księgą lub dumał modląc się, chroniła od krzywdy, opiekowała się

troskliwie, ale pieścić i rozczulać się nie mogła.... Chowałem się sam już ucząc myśleć o sobie, a instynkt nie garnąć się do ludzi cale mi kazał ich unikać. Uczyłem się też przypatrywać im, poznawać, przenikać.

Byłem jeszcze bardzo mały, gdy ojciec nas odumarł po krótkiej słabości. Dzień ten żałoby i jęku nie wyjdzie z mojej pamięci nigdy, głęboko naówczas zapisały się w niej te słowa, które każdy Izraelita obowiązany jest wyrzec, gdy go spotykają z ręki Bożej:

— Bądź pochwalony sędzio sprawiedliwy!

Nauczono mnie wraz z innemi dziećmi téj modlitwy (Kadysz) którą później w życiu tyle razy powtarzaną słyszałem:

— „Niech będzie wywyższoném i uświęconém imie Jego wielkie, na świecie, który kiedyś na nowo odtworzy i wskrzesi zmarłych i wzbudzi ich do życia wiecznego, odbuduje gród Jeruzalem, w niem wystawi przybytek swój, zgładzi z ziemi służbę obcych Bogów i wprowadzi w siedlisko swoje, służbę Nieba, by panował święty, błogosławiony On, w swoim królestwie i swym majestacie....

Jakób wzruszony zamilkł, a Iwaś mimowolnie szepnął: piękna i wspaniała ta modlitwa wasza...

ale żył nic nie odpowiedział, dumał i płakał, nareszcie jakby przebudzony jał opowiadać znowu.

— Znikł nam z oczów starzec, pozostaliśmy sami, sieroty; zdawał się nieczynnym za życia, po jego śmierci srodze go nam zabrakło. P. Micuta oddał gospodę innemu, bez względu na prośby matki, myśmy się przenieśli do małej, lichój karczemki przy młynku, w ciszę lasów głęboką.

Mnie dziecku było tu lepiej, ale tu poczęła się prawdziwa nędza, której tylko dzieci mogły nie poczuć z razu. Po nieustannym gwarze tantej gospody, przepełnionej dniem i nocą, tu całe dnie oprócz zajeżdżających z rzadko do młyna ludzi, nikogo widać nie było. Młynek stał przez pół roku, bo staw latem prawie całkiem wysychał; naówczas małeńka baryłka wódki starczyła nam na miesiące.... Do koła szumiał smętny bór sosnowy, a droga wązka i kręta porastała trawą. O chlebie razowym, o nędznej strawie do której ogród dostarczał zapasu, żyliśmy w tej pustyni. Matka coraz częściej płakiwała. Nakazywała ona do dalekich krewnych ojca, do swoich, nikt się nie zgłaszał.... Chodziliśmy w łachmanach. Trapiło ją to najwięcej wszakże, iż dorastałem do wieku, w którym koniecznie uczyć mnie było potrzeba, a nauczyciela

dostać nie miała za co, oddać mnie tak młodo do miasteczka, serce jój macierzyńskie się wzdragało.

Pamiętam że zostawiwszy nas troje ze służą i ubogim żydkiem z miasteczka, pojechała wreszcie na kilka tygodni i przybyła potém nieco uspokojona, całując mnie w głowę a powtarzając: „ciesz się, ciesz się, będziesz miał nauczyciela.“

Tak mało rozumiałem tę obietnicę, że daleko naówczas więcej cieszyłem się przywiezionym przez matkę obwarzankiem, który mi właśnie oddała.

Wiesz zapewne jaką wagę Izraelici przywiązują do wychowania dzieci; nie idzie im w niém, a przynajmniej nie szło dawniej o nic więcej tylko o to, by wpoić ~~zawczasu~~ prawo, zakon narodu, jego tradycje, to co nas czyniło nami... Wedle nauki naszych rabbinów w pięciu już leciech musiał się chłopiec zacząć uczyć biblii, od dziesięciu Miszny, od trzynastego prawa Bożego, od piętnastu Gemary.

Widząc uśmiech na ustach Iwasia, Jakób przerwał opowiadanie swe na chwilę.

— Domyślam się, rzekł, z czego się śmiejesz; Talmud, Misznah i Gemarah przez ludzi płochych a nam nieprzyjaźnych zostały obrócone w pośmiewisko. Znacie je tylko ze strony dziwacznej, powierzchni, ze słuchu, nie wnikieliście nigdy



całkiem w ich ducha... pozwólcie sobie powiedzieć, nie wiecie nawet co to właściwie jest. Nie mogę więc pominąć wspomnienia o tych księgach, abym cię choć pobieżnie nie objaśnił o nich.

A naprzód wiedzieć masz że talmud jest niczem więcej tylko wielkim skarbcem spisanych późno i różnie tradycyi narodowo-religijnych. — Nie jest to księga systematyczna, jest to zbiór niepowiązanych z sobą i nieułożonych nawet w pewien porządek logiczny, traktatów, najczęściej i dysput, rozwiązywanych przez różnych uczonych i świątobliwych mężów trudności — najsprzecznieszej treści. Cała ówczesna wiedza żydów, to jest z przed IV. wieku waszjej ery, gdy prawdopodobnie spisano te księgi, mieści się w tym ogromnym zbiorze bezładnym... w téj encyklopedyi żydowskiej. Trzeba w sądzie o tych księgach wziąć wszystko w rachunek co ich spisywaniu i tworzeniu się towarzyszyło. Obawiano się uronić najmniejszą cząsteczkę ze skarbu narodowych tradycyi, zbierano więc jak zbiera ten komu się na ziemię kosztowny proch rozsypie, zgarniając wszystko, nawet piasek i kurzawę, aby nic nie uronić. Tak w traktatach tych zgromadziło się wiele dziwaczного, poetyczne wymysły dzikie, fantazyje rozgrzających samo-

tnemi rozmyślaniami głów, ale też wiele i przewiele istotnych skarbów. Zdziwilibyście się gdybyśmy wam w okrzyczanym owym talmudzie znaleźli najgłówniejsze prawdy wiekuistej moralności, najgłębsze pomysły do których wieki owe nie zdawały się jeszcze dojrzałemi...

Znajdzie się tam zapewne i wiele rzeczy dziś dla nas niezrozumiałych, a swojego czasu niebezpiecznych. W narodzie rozproszonym i prześladowanym często wiele ukrywać musiano, osłaniać aby celu jakiegoś dopiąć, nawet przez tych co go świadomi być nie mogli.

Dla tłumów słuchających litery prawa ślepo, ta litera często się i mistycznie odziewać i surową do zbytku a straszną ukazywać musiała, aby była usłuchaną i trwałą.

Nic łatwiejszego nad wyśmianie rzeczy niezrozumiałych; nic zaszczytniejszego nad rozplątanie węzła który myśl ich kryje.

Szło o to przedewszystkiem aby Izrael w rozproszeniu sobą pozostał; — mnożono przepisy, trudności, zastrzeżenia aby go odosobnić i oddzielić; to jedno już wiele niezrozumiałego tłumaczy.

Śmiesznym cła was obrzędom winniśmy że po-

zostaliśmy sobą i nie znikliśmy z oblicza ziemi  
wsiąkłszy w gromady narodów.

Poszanowaniu, nawet niezrozumiałej litery praw  
naszych zawdzięczamy wiele.

Ale dość, powracam do mojego nauczyciela...  
Pomnę jak dziś jego przybycie... Stałem u drzwi  
karczemki gdy uboga furka wieśniacza wyrzuciła  
u naszego proga coś co nawet na człowieka zrazu  
nie wyglądało. Była to istota połamana, pokrzy-  
wiona, drobna, chuda, żółta... jakiś potwór pra-  
wie straszny i śmieszny zarazem.

Na przegiętém ciele które od pochylenia nad  
księgami ciąglego już się tak skurczyło iż wypro-  
stować się nie mogło; na piersi wklęsłej, sterczała  
głowa wielka o wypukłym czole z ogromnemi wy-  
sadzonymi silnie na zewnątrz oczyma czarnemi.  
Oczu tych wyraz dziś mnie jeszcze przeraża, gdy  
go sobie przypomnę. Zdawały mi się patrzeć a nie  
widzieć nic, póki nie spoczęły na księdze; świat  
się w nich nie odbijał i one go nie pojmowały.

Skóra żółkła, pofałdowana dziwacznie oblekła  
potworną twarz, osłupiała, jakby obłąkana, bo  
myśl co ją ożywiać była powinna, cała gdzieś we-  
wnątrz uciekła.

Kulawy na jedną nogę (miał ją podkurczoną

i wykrzywioną) szedł ciężko nawet o kiju, podskakiwał raczej niż chodził.

Tak wyglądał pierwszy mój belfer, przywieziony z miasta, znany w okolicy ze swych talentów pedagogicznych Mosze... Nie rozumiał on wiele w tój księdze praw z której nas czerpać nauczał, ale był niesłychanej pamięci i biegłości w literaturze ksiąg zakonu, w kabale, biblii i talmudzie. Całe ustępy z nich uniał na pamięć i mógł je powtórzyć nie zmieniając najmniejszego akcentu, nie opuszczając litery. Życie jego upływało na żmudném nauczaniu dzieci i na doskonaleniu się własném, świat go nie obchodził wcale, żył cały w przeszłości. Nigdyby może za niewielką zapłatę nie był się przeniósł do nas, gdyby go nie zwabiały liczne księgi pozostałe po moim ojcu, których dwa kufry przewieźliśmy z sobą. Było ich więcej niż sukien i sprzętu.

Mosze w zachowywaniu ścisłém drobnostkowych przepisów obrzędowych, religijnych, zabobonnych ale tradycyjnych był niesłychanej surowości. Była to chodząca księga, w której duch, bez samowiedzy o sobie, bez poczucia nawet jój potrzeby, mieszkiał i poruszał się dźwigany jakimś instynktem.

Surowszego nauczyciela wymarzyć niepodobna; przyjąwszy raz obowiązek spełniał go z nielitości-

wém, bezmiłosierném okrucieństwem. Nagle z zupełnej swobody jakiej dotąd używałem, przeszedłem do takiego słęczenia nad księgą, żem zrazu sądził iż umrę lub oszaleję. Ale potrzeba mi było bodaj skonać a nauczyć się być żydem. Mechanicznie wbijano w głowę słowa, ustępy księgi całe, powtarzaniem ich bez końca... a każdy przydech od którego zależało znaczenie wyrazu, musiał być najściślej wyuczony, wyśpiewany... Pomimo téj brutalskiej metody, umysł mój smagany nieustannie drgnął, otworzył się, począł poruszać i pracować.

Nie wiemy jaki wpływ ma na umysł dziecięcia długie kształcenie się pokoleń, których ono jest potomkiem, w jednym kierunku i długie przekarmienie ich jedną strawą, to pewna wszakże iż mi się zdało poczynając czytać biblią i uczyć dziejów mojego narodu, jakbym je sobie po długim śnie przypominał.

Po przełamaniu pierwszych mechanicznych trudności — począłem chciwie rwać się do nauki, sam Mosze był zdziwiony; a choć w jego systemie pochwała dziecięcia i podbudzenie go bodźcem łagodności nie było dozwolone, stał się, jeśli nie łaskawym dla mnie, to coraz powolniejszym. Gniewało go tylko gdym chciał tłumaczenia i usiłował

wszystko zrozumieć, żądając co chwila objaśnień. Naówczas zniecierpliwiony bił mnie po głowie pałeczką którą pokazywał litery, jakby z niej wybić chciał tę dumę przedwczesną i łajał a zżymał się zakazując mi rozumem świętych dotykać rzeczy. Przywodził mi często przypowieść z księgi Chulin, którą pamiętam...

— Chcę widzieć Boga waszego, mówił Cezar rzymski do Rabbi Jehoszua.

— Panie, odparł mędrzec, żadne oko śmiertelne blasku oblicza jego nie wytrzyma...

— Nie wytrzyma? Spróbujmy! chcę go widzieć.

— Chcesz, rzekł mędrzec, dobrze, idź więc za mną.

A była to pora najskwarniejsza roku i godzina w której słońce piekło najgoręcej. Mędrzec powiodł Cezara na odkryte pole, wskazał na słońce i rzekł:

— Cezarze wielki, spojrz na nie.

— Jak to? w słońce? zapytał zdziwiony Rzymianin. A któż wytrzyma blask słoneczny?

— Cezarze, nie możecie więc blasku słońca wytrzymać, słońce jest przecie tylko jednym z niezliczonych sług Bożych... Nie mogąc wpatrzeć się w oblicze jednego ze sług Pana, chcieliżbyście oglądać blask Jego samego twarzy śmiertelnemi oczyma?

Mosze mówił mi też często zachęcając do nauki że świat, wedle nauki Rabbinów, stoi na oddechu ust dziecięcych uczących się prawa Bożego... a nie na rozumach mędrców...

Śmiejcie się z tego jeśli chcecie, dla mnie te legendy i przypowieści niezmierny urok mają.

— Są one piękne, rzekł Iwaś, ale ten wasz Mosze kuternoga jakoś mi niemiło wygląda...

— Poetyzować ci go nie myślę, odpowiedział Jakób, było w nim aż coś dzikiego przez zbytnią surowość. Sługa mojej matki, często ją nawet, jeśli ściśle nie zachowywała przepisów w małych rzeczach, gromił i karmił, grożąc jej że się z domu Meszmodimów wyniesie.

Zgorzkłły, znękaný, zfanatyzowany Mosze był postrachem dla wszystkich; lecz gdy mu chwilami przychodziło natchnienie, wydawał mi się istotnie wielkim. — Nie był on w stanie nic nigdy stworzyć własnego, ale z tysiąca wyuczonych rzeczy dobierał najpiękniejszą, wypowiadał ją jakby swą własną z przejęciem i często wyegzaltowany płakał, unosił się, miotał do szaleństwa.

Gdy mu przyszło czytać o boleściach Izraela, łyzy płynęły strumieniem, ryczał z bólu, zawodził, nie czytał już ale piał pieśń jakąś dziwnymi głósy,



aż na głowie powstawały włosy i dreszcze przebiegały skórę, tak się on tą przeszłością straszliwie przejmować umiał, tak słowo to z przed lat tysięcy żywo odrzmiewało w jego duszy.

Jeśli zachodziła jaka trudność w rozwiązaniu kwestyi obrzędowej lub prawnej, Mosze nie był przywoływany aby sądził i rozstrzygał, Rabbini znali go za nadto, by mu nadali tę władzę, ale posyłano po niego, sprowadzano i stawiano w kącie, by służył za rejestr i skazówkę do ksiąg zakonu. Wskazywał im miejsca, przytaczał teksty, z taką ścisłością iż można ich było nie sprawdzać; nikt podobnej nie miał pamięci.

Masz więc mojego pierwszego nauczyciela wizerunek, niepochlebny ale wierny; pod nim przeczytałem pierwsze księgi biblii, a raczej je z nim przepłakałem. Był tak sumienny iż znalazłszy we mnie zdatność sam matce doradził aby się ze mną do miasteczka przeniosła dla dalszego mojego kształcenia.

Dzięki jemu w latach trzynastu mogłem wedle obyczaju naszego publicznie przeczytać w synagodze rozdział pisma i być zaliczonym jako człowiek dorosły do liczby dziesięciu wymaganej w świątyni, aby zgromadzenie uważało się za pełne.

Ubogiéj matce naszéj przeniesienie się do miasta było bardzo trudném, ale od niego zawisł los dziecięcia... musiała myśleć o niem. Jakkolwiek przy młynku biedne bardzo było życie nasze, nę-dzę cierpieliśmy i niedostatek wygod, wiele też ułatwiało je żeśmy mieli dach bezpłatny, las pod bokiem i trochę warzywa z ogrodu prawie darmo. W mieście wszystko, nawet wodę, kupować potrzeba. Z czegoż żyć, co począć? jak się ze trojgiem dzieci wynieść tam i utrzymać?

Właśnie w porę, gdy matka nad tém głowę łamała, starszy mój przyrodni brat, już mający chleba kawałek acz nie wielki, i żyjący z handelku skórami w lichéj mieścinie, przyjechał do nas w odwiedziny.

Był to wypadek niespodziany, a w naszém życiu znaczący, bośmy go od bardzo dawna nie widzieli, równie jak innych krewnych. — Brat miał już lat około trzydziestu, ale od dawna był żonaty; posag żony i jakaś część spadku po ojcu naszym, stanowiły pierwszy fundusz jego, z którego dora-biać się począł. Żył naprzód wedle obyczaju rok na koszcie rodziców żony swojej, którzy się ich oboje utrzymywać obowiązali, potem osiadł osobno i ostrożnie, powoli, handel rozpoczął.

O ile ojcu się naszemu nie powiodło, o tyle jemu szło nader szczęśliwie. Początek ten wzmógł w nim odwagę; oszczędny, chłodny, ostrożny, całe swe siły wyteżał na zarobek, był to dlań jedyny cel życia, ale już czuł że osiągnąć go będzie zdolnym. Ubogi jeszcze śmiało już jakoś spoglądał w przyszłość.

Przybycie jego tak pożądane cały dom poruszyło; był też to, jak się zdaje, wypadek wielki; Zelmann nie przyjeżdżał z własnej woli, ani z jakkolwiek od siebie ofiarą, był jeszcze za ubogim sam aby nam mógł świadczyć, przywoził wiadomość długo oczekiwaną od krewnych matki, którzy nareście jój biednym stanem wzruszeni, przysłali jój niewielką pomoc na początek jakiegoś handlu w miasteczku, aby z niego mnie i siostry wychowywać mogła.

Wiadomość ta rozradowała ją niezmiernie i dom nasz napełniła weselem; matka płakała z radości, my dzieci nie dobrze rozumiejąc o co chodziło, posmutniałyśmy, z razu dowiedziawszy się że młynek opuścić przyjdzie, choć wprędce potem ucieszyłyśmy się obiecanem życiem w miasteczku.

Przyjęto starszego brata jak tylko było można najlepiej, matka naprzód radzić się go zasiadła,

jakimby sposobem mały swój kapitalik zużytkować mogła.

Bratu potrzeba było handel swój powiększyć i rozszerzyć; stanęło więc na tem że matkę przyjąć miał do spółki; i że w drugiej połowie domu przezeń zajętego stanąć mieliśmy i zamieszkać.

Wszystko to dokonało się bardzo szybko, a naza-jntrz niecierpliwa matka nasza, posłała już najmować furmanki, aby się z karczemki począć wynosić.

Z tą chwilą rozpoczął się drugi peryod mojego życia.

— Widzisz, dodał Jakób, że w dzieciństwie na różach kołysany nie byłem, że i ja cierpiał a cierpienie to było słońcem które przyspieszało dojrzalność. Z tych lat zostały mi tylko mgliste wspomnienia, po większej części przykre i bolesne; wspomnienie upadku, pracy, téj nieszczęsnej walki z głodem, z zimnem, z siłami nieprzyjawnymi natury, z niechęcią i wzgardą ludzi, która odbiera ochotę i moc podniesienia się człowiekowi, nad poziom nędznych potrzeb jego ciała.

Poetom, a raczej tym co poetów udają, dawno dozwolono i stan natury idealny wychwalać i na materyalizm narzekać... ale niestety! — przypatrzy-

wszy się życiu z blizka — jakże ono zależnem jest od cielesnego bytu, od pewnego zabezpieczenia pierwszych potrzeb, od wszystkiego co ułatwia byt materialny, co życie łatwiejszem czyni.

Człowiek już wykształcony może wytrwać w walce z naturą, z nędzą, — nie tracąc na duchu; ale podnieść się wprzód z trosk powszednich, pod ciężarem tego codzienn staczającego się syzyfowego kamienia do wysokości jakiejś... niestety!! jakże trudno!! jak prawie niepodobna. Winniśmy materialnym zdobyczom cywilizacji możliwość pracy duchowej, to nie ulega wątpliwości — gardzić więc podniesieniem materialnego bytu, jest zabijać w nim postępy umysłowe, którychby się stał pomocnikiem...

Pracuje może na to jedna połowa ludzkości w pocie czoła, aby druga rozmyślać mogła.

Powiesz mi że rozumię i dowodzę jak żyd, ze stanowiska żydowskiego, ale w téj chwili zszedłem z niego; mówię tylko to o czém jestem przekonany jako o niezłomnej prawdzie.

Życie w małym miasteczku co do wygod ledwie się od wiejskiego naszego różniło, ale tu całkiem odmienny przybrało charakter. Z tych czasów mało dla mnie pamiętnych, gdyśmy jeszcze na wielkiej

karczynie siedzieli u gościńca, o ludziach przesuwających się jak widma, codzień nowych, codzień innych a zawsze prawie do siebie podobnych, nie zostało mi nic w duszy, prócz jakiejś obawy i prawie wstępu... W miasteczku także silniejszy nas tłum otoczył, nasza społeczność żydowska zwiększyła się bardzo, bo w znacznej części miescina była nami przepełnioną.

Mieliśmy tu i synagogę pokazniejszą, której widok wielkie na mnie zrobił wrażenie, gdyż dotąd bywałem tylko w ubogich, małych wiejskich domach modlitwy. Tu lepiej mogłem się przypatrzyć ściślej zachowywanym obrzędom religijnym, uroczystemu obchodowi sabbatu, tego dnia który nas żydów odrywa od świata, zbliża do Boga, a wspomnieniem przenosi do utraconej ojczyzny...

Ileż się to naśmiano z tych naszych obrzędów, z ich drobnostkowych przepisów i ostrożności... a przecież ileśmy to winni dusznie tym regularnie powracającym dniom rozmyślania, modlitwy, zerwania z zatrudnieniami, pracą, troską a zbliżenia się duchem do Stwórcy...

Wszystkie te nasze obrzędy pieczenia chleba, którego częśćka ofiarna zostawuje się dla ubogiego, przygotowywania stołu, tej uczyty rodzinnej przepla-

taniej ciągnął modlitwą... tego błogosławieństwa wi-  
na... przypominają patryarchalne czasy świata...  
kiedy Bóg mieszkał z nami i przytomny był mię-  
dzy ludźmi...

Dziś, — dodał Jakób, — i wy, chrześcianie  
i my żydzi, nadto wygnaliśmy Boga i zapomnieli-  
śmy o nim. Bogiem wieku jest jego ręką ulepiony,  
lichy i mały ale dumny i zarozumiały -- człowie-  
czek... Antropolatria wiarą świata...

— W domu brata, mówił po chwili dalej cała  
nasza rodzina stapowała już jakby jedną — on był  
jój głową. Kobiety wspólnie przygotowały ucztę wie-  
czorną i jutrzejszą, chleby i pokarmy.

Gdy miała nadejść godzina wspólnej modlitwy  
w szkole, posługacz stary drewnianym młotkiem  
dawał znak stuknięciem trzykrotnem w okiennicę  
domostwa; szliśmy w świątecznych ubiorach do do-  
mu modlitwy, z naszymi księgami pod pachą... Sy-  
nagoga był to stary sklepiony o krużgankach i ga-  
leryach budynek, który w końcu XVI. wieku wznio-  
sła ludność izraelska miasteczka, opłaciwszy się do-  
brze dziedzicowi. Był nim naówczas bardzo gorliwy  
katolik książe K... Przed tem mieli tylko żydzi  
stary a lichi budynek drewniany, w którym się  
zbierali na modlitwę, w czasie burzy i wichru czu-



jąc trzeszczenie dachu nad sobą; napróżno prosili o pozwolenie zbudowania nowej synagogi... Szczęściem dla nich nadeszła wojna, potrzeby pieniężne gwałtowne, a książę zmuszony został sprzedać plac i wydać żydom przywilej pozwalający murować szkołę nową. Podania miejscowe mówiły o prawie bajecznej summie, którą to pozwolenie okupić musieli. Mieli jeszcze później trudności nowe gdy się gmach podniósł, i dach z daleka począł być widocznym. Kazano im bowiem zniżyć go i gwiazdziste gałki porzucić, ażeby synagoga poważniej i pokaźniej nie wyglądała nad inne budowy sąsiednie.

Wysilili się żydzi okoliczni na tę poważną, ciemną, ale wcale piękną strukturę, w której nieco stylu gotyckiego w sklepieniach pozostało. W oczach moich wydała mi się niemal świątynią Salomona... tak dla mnie wyglądała wspaniale... Zgromadzenie w niej prześladowanych, modlących się do swojego Boga, językiem starym... na mym umyśle dziecięcym zrobiło 'nadmierzające wrażenie.

Modlitwa wspólna...

To mówiąc spojrzał Jakób na swojego towarzysza i spostrzegłszy uśmiech na jego twarzy, westchnął przerywając mowę.

— Tak! rzekł smutnie — i wy już nie roz-

miecie modlitwy... to choroba wieku! Wynaleźliście nawet teorią *ad hoc*, że kto pracuje ten się modli... Prawda, praca jest miłą Bogu, jest spełnieniem obowiązku... ale co innego praca a co innego modlitwa.

Przerywam na teraz, o tym przedmiocie nie mówiąc więcej, bo żyd nie nawrócę chrześcianina aby się modlić nauczył... choć źle jest że żydzi i chrześcianie staliśmy się wszyscy ateuszami i zerwaliśmy dobrowolnie ten związek mistyczny który łączył Stwórcę ze stworzeniem. Dla tego nam dziś wszystkim na tym świecie tak pusto, zimno i straszno... Wracam do mojej młodości.

Chciwie porwałem się do dalszej nauki. znajdowano że miałem pewne zdolności, ja czułem tylko w sobie jakby ogromne, niczem nie ugaszone pragnienie. Księgi Starego Zakonu cudowną mają władzę rozwijania dziecięcego umysłu; są one dziejami dziecięctwa ludzkości, wypowiedzianymi natchnionym a pełnym prostoty językiem, dla tego i pokarmem dziwnie stosownym dla młodzieży. Ich poezya rozplómienia, roztwiera dalekie przestwory wyobraźni, ich siwy rozum otwiera umysł powolnie i stopniowo. Ale pogląd na świat jaki z nich czerpiemy jest tak wysoki, z góry, tak obłoczysty, tak wzniosły, że się nim dusza napawając nie uspokaja,

chce więcéj, chce widzieć bliżéj i czuje że wstąpić powinna na wyżyny, aby oglądać to co w złotych snach tylko postrzegła i przeczuwała.

Dodaj do tego, ksiąg talmudycznych podania i legendy nieznane wam, a poezyi pełne...

Miasteczko nasze nie było jedném z najpięszych w kraju w którym miasta w ogóle nie mają takiego życia jak za granicą, nie było nawet zbyt ożywioném, z wyjątkiem wielkich jarmarków i dni świątecznych, ale nie liczyło się do ostatnich... Przerzynał je gościniec dość uczęszczany. Ludność jego pomnożona była szkołą niedawno założoną, garstką duchowieństwa uszczuploną prześladowaniem katolicyzmu, przy wspaniałym niegdyś kościele; zarządem majątności ogromnych, które stanowiły jedną całość z miasteczkiem, wręście kilką urzędnikami rządowymi, stanowiącymi postrach ludności, gdyż ich bez ustanku opłacać i dawać się im odzierać było potrzeba, aby mniej dokuczliwymi uczynić.

Z temi wszystkimi rozlicznymi rodzajami ludzi, z któremi wedle ich kast i charakterów coraz inaczej obchodzić się było potrzeba — oswoić się musiałem — poznając rozmaitość świata... i stosunków.

Byli ludzie których prawo i zwyczaj nakazy-

wały omijać, inni którym należało oddawać uszanowanie zdala, zblizka, różnie ustopniowane; od których trzeba było uciekać...

Żyd w ogóle wszystkich aż do stróża urzędniczego, sług i żon tych panów pokorą i datkiem ujmować sobie musiał.

Nie zrozumiałem rychło dla czego my, naród wybrany przez Boga, w takiój zostawaliśmy poniewierce.

Po biblii rozpocząłem stopniowo naukę tradycyi zawartych w różnych traktatach talmudu; tu spotkałem mnogie trudności i szkopyły, które rozwijający się rozsądek nie łatwo mógł pokonać. Inaczej na to wszystko dziś patrzę; naówczas byłem zdumiony tą poezją dziwną i temi niezrozumiałemi przepisami... Umysł mój dziecięcy pracował już dorabiając się sił w tych zapasach, biblia podnosiła go wysoko; niektóre księgi talmudu prawie całkiem znajdowałem niezrozumiałemi, zagmatwanemi, dziwaczniemi... Widzisz że jestem prawdomówny i że ci się z mych wrażeń spowiadam wiernie. Uderzało mnie to że talmud, dzieło człowieka, daleko stał niżej i poezją i treścią i formą i duchem od biblii, księgi natchnienia Bożego.

Wszakże i tu wśród ciemności jasne przepływały strumienie światła.

Byłem w téj dobie niecierpliwego rozwijania się umysłu i wątpliwości rodzących się co chwila, gdy jednego wieczora, powróciwszy od nauczyciela z książką pod pachą, a głową rozmarzoną i tęskną, zastałem w domu jakiś zamęt wielki.

Przestraszyłem się zrazu przewidując jakieś nieszczęście, lecz po twarzach wkrótce wyczytać mogłem że wypadek ten dziwny, wcale nie musiał być przerażający. Krzątano się tylko jakby na przyjęcie osoby wielkiej i znaczącej; matka popchnęła mnie do alkierza, zalecając abym się co prędzej ubierał jak od święta. Brat już był przywdział szabasowy strój swój; na stole stała wódka, w miodzie smażone konfitury, piernik, bułka, a nawet butelka jakiegoś wina...

Z wielką trudnością wśród tego zamętu przyszło mi się nareszcie dowiedzieć, że ten którego tak uroczyście przyjmować miano był stryjecznym bratem mojej matki, niezmiernie bogatym kupcem z Warszawy; że przyjeżdżał jak się zdawało, aby o moim przyszłym stanowić losie.

Matka drżała.

Wyobraziłem sobie w méj głowie dziecięcój po-

ważną jakąś postać, z długą brodą, w szatach biblijnych, patryarchalnie poważną; anim się spodział gdy wpadł bardzo żywo biegnąc ktoś kogo wziąłem za chrześcianina i natręta. Ubrany nie po naszymu, w okularach, z cygarem w ustach i krągłym kapeluszu, człowiek niemłody, nieco szpakowaciejący, o rysach wydatnych, oczu czarnych, cały ogolony, dość zażywny i otyły, wyglądał mi na *goima*. •

Wpadł jakby się niezmiernie spieszył, nie wiele na nas zważając, do ubogiego domku naszego, z miną dosyć pogardliwą i zniechęconą... Powitał nas zakłopotany, nieco zawstydzony, dość chłodno i siadł bez ceremonii na pierwszém miejscu zakładając noga na nogę.

Gdym się przekonał że to był oczekiwany nasz krewny, uderzyło mnie to i zgorszyło niemało że tak był do *goima*, jak wówczas mówiłem, podobny i wcale żydowskiego nic, prócz charakteru twarzy, nie miał.

Matka kazała mi podejść i w rękę go pocałować; popatrzał na mnie, wziął mnie pod brodę, potem potrząsł uśmiechając się mojemi loczkami i dał pstryczka w jarmułkę którą nosiłem, zajrzał w oczy które w niego wlepiłem ciekawie i jakby

na znak zadowolenia puścił mi w twarz kłęb dymu. Potém pomilczawszy trochę odezwał się po niemiecku.

— No... trzeba będzie z niego zrobić człowieka!

Wszyscy, choć podrażnieni, słuchali wyroczni z pokorą, był bowiem niezmiernie bogaty i cały nasz los od niego zależał.

— No, cóż myślicie, dodał zwracając się do matki — co myślicie? Jabym go pokierował, ale nie po waszemu pewnie...

. I począł szybko odwracając się do Zelmanna.

— Dosyć już jest żydów w tych małych handlach, po wsiach, po karczmach, wszystko się to marnuje, a wiecie czemu?... oto że się nic nie uczymy...

— Jak to? przerwał Zelmann, wszakżeśmy go uczyli i dotąd uczym jeszcze, chłopiec już czyta Gemarhę...

— A! ah! ruszył ramionami bogacz, na co jemu ta Gemarah? co on ma robić z Gemarhą? czy wy go myślicie kierować na rabbina? Nam teraz potrzeba cisnąć się wszędzie, a nie zamykać w ciasném kółku... po co te pejasy? na co ta jarmułka? to wszystko zabytki średniowieczne! Czasy przesła-



dowania przechodzą, świat się dla nas otwiera, myśmy powinni być gotowi objąć wszystko, zająć stanowiska ważniejsze... Żyd ma rozum, uczyło go kilka tysięcy lat prześladowania i nieszczęść, tego rozumu... ale on jest! Dla czego nie ma wchodzić tam gdzie dotąd wchodzili tylko uprzywilejowani chrześcijanie; czasy przywilejów zamknięte.

Czemu nie ma uczyć się ich nauk? czy przez to nie może w duszy pozostać żydem?

Na tę mowę, mimo poszanowania dla bogacza i matka moja i brat zamilkli zafrasowani, sprzeciwiało się to ich tradycyjnym wyobrażeniom i nawiągnięciom. Nie zważając na zakłopotanie nasze, mówił dalej:

— Powinien pamiętać że jest żydem, utrzymać swój zakon w głębi serca, ale uczyć się i iść w świat na równi z innymi ludźmi jak czynią żydzi za granicą... no, i w Królestwie już przecie... Jemu dobrze z oczów patrzy, dodał, on Izraelowi wstydu nie zrobi, ja na wychowanie dam, ale go potrzeba do szkół chrześcijańskich oddać... Na początek może chodzić i tutaj, potem odeślecie go do mnie... ja nim sam pokieruję.

Matce serce zabolalo znać o wiarę moją, obawiała się bym ją nie postradał.

— A! rzekła po cichu, nieśmiało, wyście opiekunem i dobrodziejem naszym, ale wy wiecie, tylu tam z naszych porzuciło wiarę i stali się tymi ludźmi którymi zarówno pogardzają żydzi i chrześcianie; niech on zostanie z ojcami swymi.

— A dla czego nie ma zostać? odparł bogacz, ale wolcież go z téj obawy dziecinnéj widzieć nieukiem, ubogim, w łachmanach i w téj nędzy w jakiej wy żyjecie, czy takim jak ja?? Widzicie przecie że żydem dla tego jestem, że do szkoły chodzę, że zakon trzymam, choć może nie tak ślepo jak wy...

Cała ta rozmowa wbiła mi się dobrze w pamięć; stanowiła ona o losie mojego życia, stokroć ją powtarzaną słyszałem przez matkę.

Właśnie na te słowa nadszedł, dowiedziawszy się o przybyciu z Warszawy naszego krewniaka magnata, ten który był wyrocznią żydów w miasteczku, stary Abraham Machnowiecki.

Mamże ci ten typ skreślić jeszcze, czyś się już może znudził słuchając? spytał Jakób.

— A! nie! nie, odpowiedział Iwaś, mów ja zaciękawiony słucham, choćbyś mi dwa i trzy dni miał prawić.

— Zawahałem się, mówił dalej Jakób, bo fi-

gura Abrahama jest i była u nas dosyć pospolitą i przyjdzie mi może wspomnieć niejedną do niej podobną w ciągu méj biografii — a przyznam ci się że mi o tem wszystkiem mówić miło. Roztaczam te wspomnienia przed sobą równie jak przed tobą. Stary to spłowiął ów kobierzec bajki wschodniej, który gdyś na nim usiadł — w obłoki cię unosi.

Mówmy więc o Abrahamie; był to żyd stary, żyd polski, powinienbym powiedzieć żyd Polak, chociaż on sam nie miał wyraźnego pojęcia tego synowstwa, które Mickiewicz z poetyczném uczuciem odmalował w Jankielu, on co przywiązanie do kraju nawet w żydzie ocenić umiał.

Abraham był uczciwym i bardzo rozsądnym człowiekiem, istnym typem polskiego żyda, który się ogromnie różnił od innych Izraelitów reszty Europy. Niewątpliwą jest rzeczą że obyczaj oddziałał i na nas na téj ziemi w której wszystkie życie było czynem. Od czasu jak się ono w złociście przerobiło słowo — stało się martwym ręką artysty wydłutowanym posągim.

Abraham acz żyd należał do kraju, z nim i w nim żył, miał stosunki ze wszystkimi obywatelami, znał każdego nietylko rodzinę, położenie, majątek, ale charakter i wagę między swymi, wie-

dział ile kto mógł i do czego się przydał; pamiętał kolligacje i związki. Zajmowało go też wszystko co kraj obchodziło, sejmiki, zjazdy, kandydaci, wybory na urzędy; często z nim i u niego się naradzano, a w delikatnych sprawach bywał bardzo szczęśliwym posłem. Szanowano go bo był godnym szacunku, przyjmowano mile, a co większa, nawet, (gdy nie było gości) sadzano go na krześle — nie zawsze jak inni stał u drzwi.

Bez Abrahama nic się ważniejszego zrobić nie mogło. Powierzchowność jego była poważną i piękną, wzrost słuszny, broda siwa do pasa; żupan czarny, czapka sobola a w lecie czarny kapelusz szerokoskrzydły i laska wysoka o srebrnej gałce, ubierały starca i dawały poznać zdaleka przechadzającego się po miasteczku.

W domu jego, który był jednym z najpiękniejszych w mieście, nigdy nie brakło gości, posłańców, interessentów wszelkiego rodzaju; był bankierem połowy obywateli, powiernikiem, pośrednikiem, doradcą, większej części pożyczzał lub dostawał pieniądze.

Abraham umiał właściwie tyle tylko, ile umieją wszyscy żydzi, ale rozum miał bystry, przenikliwy, wielką ludzi znajomość i życia praktykę, tak ta,

co największa, niesłychany spokój. Nie rozgniewał się on nigdy, nie dał najmniejszej oznaki niecierpliwości, znosił z rezygnacją, cieszył się nawet powodzeniem z umiarkowaniem. Nie był wielomownym wcale, słowo wychodziło z ust jego z rozwagą, powolnie ale stanowcze. Wiedzano że gdy przyrzecze, dotrzyma nieochybnie, choćby z widoczną dla siebie stratą. Przywiązany do swojej wiary i obyczaju, nie był fanatykiem; rzeczy religii, nawet pytany o nie, nigdy nie tykał.

Ta wyrocznia miasteczka i okolicy szanowana tak powszechnie i przywykła do tego poszanowania długim życiem, nie miała nawet dumy, któraby łatwo mogła się w niej zrodzić; nie kazał się szanować, ale miał coś w sobie, co zmuszało do szacunku.

Było to bardzo dziwnem że Abraham, który rzadko gdzie bywał, zaszedł do naszego domostwa; tak dalece dziwnem, iż można było przypuszczać, że go matka nasza, coś przeczuwając, o to pośrednictwo prosiła.

Na pierwszy rzut oka ów nasz bogaty krewny z Warszawy wydał mi się jeszcze gorzej przy poważnym Abrahamie; raziła jego duma i wzgarda z jaką nas traktował niby po europejsku, w isto-

cie z lekceważeniem dorobkowicza, gdy Abraham swój lud jak patriarcha z poufałą powagą i miłością przyjmował.

Spotkanie między tymi dwoma ludźmi, tym *esprit fort*, który już z siebie starł wszystko żydowskie, a owym biblijnym człowiekiem — było zaiste zajmującym.

Nasz krewny z całą dumą wielkiego człowieka, ledwie się poruszył nieco na widok starca, który mu na powitanie uprzejmie dłoń podał, i nie rzucając cygara, rozparty uśmiechać się począł wpatrując w Izraelitę z pejsami, w jarmułce, w płaszczu starym, z laską ową wysoką, jakich już dziś nie widać.

Abraham spojrzał nań, a że nie pierwszego zapewne widział w tym rodzaju, nie potrzebował go badać długo aby poznać.

— Bardzo to pięknie z waszej strony, odezwał się starzec, że o ubogiej rodzinie nie zapominacie... bodajby tak czynili wszyscy....

I dodał słowa z księgi Nedarim: „Szczanujcie syny ubogich, bo przez nich wiary nauka świetność otrzyma.“

Warszawiak z lekka się cytacyi talmudycznej

uśmiechnął; należał bowiem do tych co nie znając wcale talmudu, wyśmiewali się zeń i gardzili nim.

— Chciałbym w istocie, odczuwał się niedbale, uczynić zeń człowieka, tylko nie takiego jakiego to na wsi zrobić można. Czas jest, dodał aforystycznie, aby żydzi zajęli w społeczeństwie należne ich rozumowi i talentom miejsca, aby się nie dzielali dobrowolnie.

Abraham westchnął.

— Może to być, rzekł, z dobrém naszym, ale jakże ich w tę podróż uzbroić trzeba żeby żydami być nie przestali!

A po chwili dodał powoli: „Izraelski naród porównywią, mówi Resz Lakisz (Chullin 92) do latorośli winnej: gałęzmi ję są pospolici ludzie co na chleb pracują, jagodami uczeni, liśćmi prostaczkowie i wyrobnicy, a niedojrzałemi, kwaśnemi gronami próżniacy.“ Czy komu być dano liściem, gałęzią czy jagodą, byle nie był gronem niedojrzałym a kwaśnym... zawsze się on zda narodowi.

— A! jagody ja z niego koniecznie robić nie myślę, przerwał krewniak nasz, niech będzie gałęzią ale zdrową i mocną.

— Sprawiedliwie rzekłeś, potwierdził Abraham, jagodą sam Bóg czyni, gałęzią ziemia.



— Więc namawiam ich, mówił dalej magnat, aby naprzód chłopca, gdy się przygotuje nieco w domu, dać do szkół zwykłych, niech się uczy razem z innemi dziećmi.

— Rzucicie go jako złoto w ogień na próbę, rzekł Abraham, jeśli złotem jest, ogień mu nic nie uczyni, jeżeli próchnem to spłonie.

— Mówią że okazuje zdolności, rzekł krewniak nasz, toć skorzystać z nich należy.

— Byleby wiary nie utracić, przerwał Abraham, dla tego myślę żeby go nazbyt rychło nie brać z domu, póki się nie ugruntuje w nauce zakonu, tak aby jój nic na potém wzruszyć w nim już nie mogło. Gdy garncarz chce aby się na naczyniu glinianém pismo jego zostało, nie bierze go mokrém z warsztatu, ale je wysusza na słońcu.

Warszawiak nic nie odpowiedział; ten przypowieściowy sposób mówienia starca widocznie mu nie przypadł do smaku.

— Wieleż ma lat? zapytał zaraz i na odpowiedź głową potrząsnął.

— Macie i tu podobno szkołkę, to go do niej możecie oddawać.

— Czemu nie, rzekł Abraham, ale biedne dziecko dużo przecierpi.

— A któż z nas tego nie przechodził? zawołał magnat z właściwą dumą, ja, jak mnie widzicie, mam dziś parę milionów, może więcej, a sprzedawałem szuwaks i zapałki na ulicach....

Stary Abraham skłonił przed nim głowę w milczeniu; szepnąwszy tylko z księgi Sędziów wiersz, który Rabbini tłumaczą, że słońce ciężko dopiekające znosić należy, choć dokucza, gdyż światu jest potrzebném.

Potém złożył rękę na głowie mojej, pobłogosławił mnie stary modląc się po cichu i skinął ku matce aby była spokojną, sam zaś zwrócił się do przybyłego z obojętniejszą już i ogólniejszą rozmową.

Acz małym byłem naówczas chłopakiem, pamiętam scenę tę dobrze. Przybyło do niej wkrótce więcej aktorów i słuchaczów, gdyż i inni krewni matki którzy ją dawniej mało znali, i ciekawi i ci co mieli pretensye do znaczenia i rozumu, miasteczкови patrycyusze żydowscy, poschodzili się wszyscy zasłyszawszy o przybyłym wielkim człowieku.

Naówczas usunęły się kobiety, odprawiono dzieci i poczęła się cicha rozmowa, o której treści dowiedziałem się znacznie później.

Krewny nasz, którego Abraham i inni poczęli

gorąco wypytywać o sprawy ogólne narodu, stał się jaśniejszym, zrozumiałszym, obszernie wyłuszczając wiejskim mieszkańcom nowsze idee krążące już naówczas pomiędzy Izraelitami w królestwie. Powtórzył on i wyłuszczył obszerniej co tylko w zastosowaniu do mnie mówił wprzód, iż uznanem było przez ludzi stojących a steru narodu, iż Izraelici powinni się byli starać wyjść z koła jakie im zakreślała zbyt obawa o wiarę i zagrożoną ich narodowość.

— Cierpieliśmy długo, mówił, wiele, czas jest zbierać owoce, powinniśmy zająć stanowisko jakie nam, ludowi jednemu z najdawniejszych, należy zająć w świecie. Mamy bystrość umysłu, sposobność do wszelakiej nauki i kunsztu, mamy pieniądz który wszystko ułatwia i jedność a spójność, przez którą tylko wielkie dokonywają się sprawy; dla czegoż gnuśnieć mamy po wsiach, a nie starać się stać na świeczniku? Patrzcie na żydów innych krajów, znajdziecie ich po akademiach, w parlamencie angielskim, na urzędach we Francyi i w Niemczech, lub dobijających się nauką, wpływami, pieniędzmi tych praw obywatelstwa, których im jeszcze gdzieś niegdzie odmawiają.

Tak właśnie i nam uczynić potrzeba, iść wyżej,

być wszędzie, sposobić młodzież, rzucić ją w świat, rozsypać po wszystkich drogach, opasać siecią rąk i myśli naszej wszystkie kraje, boć niedarmo jesteśmy narodem wybranym, zahartowanym dwóch tysięcy lat męczarnią.

Abraham słuchał, nie sprzeciwiał się wcale ale był smutnym; inni z wielką radością potakiwali. Zdaje mi się że wielką powagą jakiegoś znakomitego imienia dowodzenie swe poparł mój krewny. Starsi żydzi przywiązani do ścisłego zachowywania obyczaju swego, które trudnem było w ciągłym obcowaniu z chrześcianami, zamilkli.

Odwiedziny te magnata naszego u matki méj pozostały epoką w miasteczku, wniosły one tu nową ideę i wywołały ruch, któremu tylko fanatyczniejsi, bojaźliwsi byli przeciwni, reszta w nim bardzo smakowała.

Rok jeszcze przysposabiałem się w domu nim wszedłem do szkoły.

Było to wypadkiem niezmiernie głośnym i obudzającym podziwienie, gdy żyd, może pierwszy od czasu jak szkoła istniała, zasiadł na ławie między studentami chrześcianami.

Z góry już dobrze byłem przysposobiony do tego co mnie tam oczekiwało, ale wyznać muszę,

że to com znalazł tu przeszło wszelkie obawy i oczekiwania. Studenci byli po większej części dziećmi drobnej szlachty i właścicieli drobnych lub urzędników niższych, dosyć po prostu wychowanemi; nic też czasem dzikszego nad instynkta dziecinne.

Było to prawdziwe męczeństwo, niemal nieustanne. Jako żyd ledwie sobie wyprosił ostatnie w odosobnionej ławie miejsce; musiałem się okupywać od razów nieustannemi kozubalcami, a milczeć na obelgi które mi mnie obsypywano. Nieskończone przymówki i przyśpiewki do świni, do rzeczy dla nas niemiłych, nawet się czasem w ustach nauczycieli spotykały, cóż dopiero mówić o uczniach?

Broniła mnie pokora i milczenie, Pierwsze dni zwłaszcza były straszliwe, oswoilem się i ja później i drudzy oswoili się ze mną, tak że potem na ławie mojej odosobniony, prawie zapomniany i spokojny mogłem pozostać.

Ale w samej nauce ileż dla mnie do przełamania było trudności...

Wchodziłem nagle na cale nowe i różne stanowisko, spotykałem się z poglądem nowym, dziwnym, w sprzeczności będącym z tym, jaki dotąd sądziłem jedynie prawdziwym.

Wszystko com nabywał tak mozolnie runęło obalone. "

Czułem się zburzony i zniepokojony wewnętrznie, w głowie mi się zawracało, nauka pierwsza walczyła z drugą i pojednać się nie mogła.

Postanowiłem jednak wytrwać, uczyć się, czekać aż sama siła nauki i prawdy jasność w mój umysł wprowadzi.

---

Domawiając tych wyrazów, postrzegł się Jakób że godzina była nieco spóźniona; przypomniał dopiero że wieczorem na Aqua Sola znajdować się mieli i przerwał opowiadanie.

— Czuję, rzekł, jak jestem nudny i długi, przepraszam cię, powolny mój słuchaczu, ale doprawdy, inaczej jak w ten sposób opowiadania nie rozumiem. Nagie fakta nic nie mówią: aby się stały pojętnymi należy w nie wlać życie i barwę; a życie i barwa wymagają rozwinięcia.

— Ale mi się nie tłumacz, zawołał Janko, ja nie spieszę się dowiedzieć końca, idźmy powoli.

— Dobrze więc, odpowiedział Jakób, reszta na później, a teraz... na Aqua Sola...

Wieczór a z nim trochę chłodu wyprowadziło roje ludzi przez cały dzień w murach zamkniętych, na ulice Genui... Nuova, Nuovissima, Balbi, Aqua Sola, przechadzki, pełne były przechadzających się, mriiej więcj poubieranych Włochów i kobiet we



wdzięcznych tych zasłonach białych, które często całe niewdzięczne okrywają postacie.

Dwaj towarzysze wyszli od Federa ciasnemi, cienistemi uliczkami starego miasta, przerzynając się ku temu wzgórzu, które stanowi jedyny zielony ogródek marmurowego grodu.

— A no, rzekł Iwaś, ciekawym też bardzo czy wczorajszych podróźnych zastaniemy na umówioném stanowisku.

— Bądź co bądź, nie tych których poznaliśmy wczoraj, odparł Jakób — dzień jest długi a człowiek jest zmienny, a chwila jest królową.

— Zobaczymy...

I szli dalej po wschodach spinając się ku zieleni, w pośród których szeptała fontanna, muzyka grała... Ścisk był wielki.

Ale ścisk to był genueński; wojsko, lud, kilkunastu księży przesuających się przez tłumy, trochę kobiet ogorzałych, trochę cudzoziemców ciekawych, kilku długich Anglików. —

Na Aqua Sola nie zobaczyć nic więcej; resztki arystokracji Genueńskiej albo się zamykają po pałacach i villach, albo nie żyją wcale w Genui; mieszczaństwo dostatnie ma swe domy i ogrody w Nervi i po drodze do Rutta; ci tylko co żyją

w mieście przechadzają się po ogródku Aqua Sola, lub ci co się im przypatrzeć chcą. Poznać tu więc można tylko lud i mało co więcej nad lud a wojskowych..”

Jakób z Iwanem weszli, mimo wieczora i pozornego chłodu, uznojeni; radzi byli świeższemu powiewowi, który tu ich przywitał. Spojrzeli po ulicach przechadzki, nigdzie podróżnych swych znajomych dostrzedz jeszcze nie mogli.

Poczęli się więc przechadzać wzdłuż alei, rozmawiając po młodemu o szerokim świecie, o ojczyźnie, o przyszłości świata i przyszłych ojczyzny losach.

Nie spostrzegli się jak im drogę zastąpił pierwszy flegmatyczny Niemiec, który w Albergo della Grotta odznaczył się szczególnie milczeniem.

Poznał ich zaraz, zbliżył się i przywitawszy, z uśmiechem łagodnie-zimnym odezwał:

— A! bardzo rad jestem że panów spotykam... chciałem się też dowiedzieć jak się wczorajszy nasz chory miewa, a razem przeprosić że z miłego ich towarzystwa nie będę mógł korzystać. Trafia mi się jedyna zrzeczność, veturino na pół kosztu z moim ziomkiem radcą tajnym von Zuckerbeer do Pizy... muszę dziś jeszcze odjechać..

— Co za szkoda! zawołał Jakób po niemiecku, ażeby Niemca francuszczyzną nie męczyć i siebie, bo wymawiał ją szanowny współziomek Göthego w taki sposób, że zrozumieć go było trudno a wstrzymać od śmiechu niepodobna. — Co za szkoda! bylibyśmy tak przyjemnie wieczór spędzili razem...

Na dźwięk mowy ojczystej Niemiec rozpromieniał, westchnął, ale mimo widocznej pokusy pozostania, zwyciężył chętkę dla obowiązku... Oszczędność kazała... może też towarzystwo radczy tajnego wabiło.

— Radca tajny von Zuckerbeer, rzekł cicho, rachuje na mnie, dałem słowo — więc muszę, muszę jechać! niema sposobu...

Jakób go wcale nie zatrzymywał, skłonili się sobie wzajemnie i pożegnali do zobaczenia — na Józefatowej dolinie. Niemiec odszedł lekki że się zbył obowiązku lekkomyślnie zaciągniętego; w duży nawet miał nieco podejrzenia na Polaka że mógł być niebezpiecznym rewolucjonistą, Garybaldczykiem, któż wie? Mazzinistą może... a pewnie republikaninem spiskującym po świecie... zawsze stosunki z takim człowiekiem były rzeczą nieobrachowanych skutków, nieobliczonych niebezpieczeństw

w przyszłości!! Stokroć więc lepiej było się wycofać w porę.

Zaledwie go pożegnali, gdy ocierając pot z czoła przywłókł się cygan z uśmiechem na ustach, witając ich głową zdaleka... Wachlował się chustką porozpinany, ale znać było że mu to powietrze ciepłe przyjemne robiło wrażenie, szedł rozpromieniony, o ile twarz jego bronzowa promienieć mogła.

— No! no! zawołał podchodząc — jakże się wam podoba ta Genua? Mnie nie... ale żyć można. Naprzód, to nie jest miasto ale w starym pałacu założony kranik... hałas ogromny, osły ryczą jak nigdzie, po ulicach więcej jeszcze osłów poubieranych w baryłki niż ludzi... gorąco tęgie i wsztecnie brudno... Nie powiem co się dzieje z nosem... *Seccatura!* koloryt wschodu, fizyognomia niedojrzałego orjentu, wonie też konstantynopoli-  
tańskie. Tylko w ulicach tego miasta, spotyka się tak drastyczne zapachy.

Aleście dziś zdrowi? nie mdleliście raz drugi? zapytał Iwasia.

Po chwili namysłu dodał:

— Czyśmy się też sobie prezentowali wczoraj? he? nie? prawda?... Istotnie mało nawet wczorajszego dnia pamiętam... no, wiecie już wszakże

żem cygan... Cóż? brzydziecie się może cyganem? Ja się żadnym nie brzydę człowiekiem... to mi wszystko jedno, byle na dwóch nogach...

Nazywam się Stamlo Gako... mówią że moja rodzina długo wodziła obozy; podobno, bez żartu, królowaliśmy cyganom przez wieki, alem ja porzucił szatrę i gromadę i włóczęgę kupą, dla włóczęgi samopas...

Jestem, jak widzicie, sam jeden na świecie; kulbym może konie i naprawiał dziurawe kociołki do dziś dnia, gdyby nie muzyka. Miałem piękny głos basowy, dostałem się z nim do teatru — westchnął — zrobiłem trochę grosza... Postawiłem raz na loteryą, no... wygrałem, wygrałem bardzo dużo. Z tego mi się, pomimo różnych szaleństw, coś jeszcze zostało, mogę próżnować. Nie wiecie co to za smaczna rzecz nic nie robić! ha! Żyję gdzie i jak chcę... ale na czole mém napisano: „Cygan.“ Nikt mnie nie chce, niebardzo bym też ja chciał kogo...

Głupie życie, tęskne życie, a nie pomieniałbym je na inne... na żadne inne... już się z niem znam, jak z kulawym przyjacielem, wiem na którą nogę chromać... Nie mam żadnych obowiązków, to znaczy, że nie noszę żadnych więzów; nie mam wiary, nie

mam nadziei, nie mam zajęcia... nudzę się wspa-  
niale... Cóż chcecie? jestem Stamlo Gako... Urzą-  
dziłem sobie próżnowanie wygodne, porządne.

Na zimę ciągnę ku północy... a no tak! nie  
dziwujcie się — tam się najwygodniej zimuje, mury  
są ciepłe. Staję w hotelu, jém u najlepszego stołu,  
robię znajomości przelotne, chodzę na teatr, znajdę  
zawsze jakąś jejmościankę, chwilową Arjadnę, po-  
trzebującą pocieszyciela, która mnie znajduje nie-  
brzydkim i znośnym. — Śpię długo, kładnę się  
kiedy mi się podoba, robię co chcę, na lato ciągnę  
do Włoch; niekiedy zajrzę do swoich, do Węgier.  
Jest tam coś mojej krwi... ale szczęściem nikogo  
bliżkiego, któryby mnie miał prawo nudzić. Wę-  
gry to jeszcze niby jakaś ojczyzna.

Uśmiechnął się.

— Ot, jakim jest Stamlo Gako...

Z próżnowania, dodał, nauczyłem się czytać...  
a jak to doskonale godziny zabija, kiedy książka  
zręcznie poplątana... chociaż w ogóle powiem wam,  
książki są głupie. W najrozumniejszych dziesięć razy  
tyle plewy co ziarna... Całą mądrość ludzką można  
by spisać na dłoni.

— Ja także bezojczyźniakiem jestem, odpowie-  
dział mu Jakób, który łatwo poznał że cygan był

niewco podchmielony... ale ja życie rozumiem inaczej, mam w ni3m cel, bo mam braci. Czemużbyście wy, więcej od drugich cyganów umiej3c, mog3c więcej, coś dla narodu swojego uczynić nie chcieli? Zwaźcie jakby to było chlubnie zostać jego nauczycielem i dobroczyńc3.

Stamlo Gako rozśmiał się pokazując białe zęby.

— Co wy chcecie bym zrobił z takim narodem, którego jest garść, a garść tę Bóg czy szatan rzucił z góry między ludy i rozbiła się w prochy. Co chcecie bym zrobił z plemieniem przeklęt3m, co miejsca zagrażać nie może szukając zgubionego gościńca do zapomnianej ojczyzny? — Chybabym tę kupę powiódł znowu nad Ganges, zkąd mówią że ją wypędzili!?

Napiętnowano na czole naszym: „Zginiecie”, i giniemy, ale konanie powolne, niech to was nie nudzi... bądźcie cierpliwi... tylko co nie widać jak ostatni zdechnie... w nędzy i upodleniu... W Moskwie tancerki i śpiewaczki, ówdzie wróżbiarki i złodziejki, gdzieindziej kowale, konowały, tancerki i... swawolnice... jakimże językiem mówić do nich o przyszłości? Nie rozumiej3 bestye... Zawłóczyni się tak na śmierć, jak owoc z drzewa upadły, na-



rodem oderwanym od ziemi. Wyrzucono nas z niej z korzeniem...

— Więc wsiąknijcie przynajmniej w jakie przyjaźniejsze, bliższe wam plemię...

— He? wsiąknąć w opokę? uśmiechnął się cygan... a! nie! nie! Spłyniem lub rozplyniem się... wielki Bóg wie co robi. W mroku wieków, dodał tajemniczo pocichu — jest jakaś straszna, nieodpokutowana zbrodnia... jakieś bratobójstwo, z którego rąk obmyć nie możemy...

Ot i ja, dodał ponuro, mam wszystko czego człowiek potrzebuje do szczęścia na świecie, a nigdy szczęśliwym nie będę. I źle mi nie jest i dobrze być nie może. Ale co mi tam!! Stamlo Gako policzył dobrze ile godzin ma do życia... godziny płyną i upłyną... przeznaczenie...

Gdy tego wyrazu buchnąwszy go z piersi domawiał, pozdrowili przechadzających się dwaj Włosi: Alberto Primate i Luca Barbaro.

Oba mieli rozjaśnione oblicza, oddychali włoskim swobodniejszém powietrzem, nad ich głowami powiewała trójbarwna młodej ojczyzny chorągiew. Luca Barbaro niósł album w ręku. Primate zwitek nut.

— A witajcież, witajcie bracia! zawołał Luca

— jakże zdrowie? czy to cudne powietrze nie wyleczyło was z osłabienia? Co do was mówi staruszka Genua?

— Mruczy o średniowiecznej przeszłości, rzekł Jakób.

— A o przyszłości? zapytał Luca — nie? nie czujecież wy tu, jakby zbliżającego się powiewu wiosny co wszystkim narodom da kwiaty i wieńce?

— Utopisto! odparł smutnie Izraelita — nigdy, żadna wiosna nie przyjdzie razem dla wszystkich... Ludzie w słowach są braćmi, ale w czynach ludźmi tylko; każdy by siebie ocalić poświęci brata... Powoli, mozolnie wybijać się będzie świat z więzów ciemnoty, niewoli i więzów szarlataństwa, które korzysta z pocziwych pragnień by niepoczciwą żądzą ambicyi swój i chciwość złota nasycić.

— Cicho! nie bluźnij młodzieńcze, przerwał zapalając się Luca który go za rękę pochwycił — ja wierzę w ludzi. Jest między nimi garść podłych *codinów* i garść nikczemnych ciarlatanów, ale ogół to... dzieci Boże!! Pieśnią, obrazem, słowem, ofiarą otwierajmy serca, czyśćmy wnętrzność, rozplamiamy głowy ku cnocie... a zabłyśnie ta wiosna...

— Amen, dodał Primate — amen, tylko jabym *privatissime* o jedną was rzecz prosił... przyznaję

się do egoizmu... ale proszę mam wielką! Wszyscyśmy tu przyszli odetchnąć, spoczywać, nieprawda?

— Prawda! prawda!

— A! niechże raz filozofia z polityką pójdą sobie do stotysięcy... *codinów*... Mówmy choć godzinę o sztuce i życiu.

Luca go w czoło pocałował.

— *Poverino!* rzekł, zmęczył się strasznie mną, ja to mu pokoju nie daję, ja... a on ma w sercu i duszy tylko kobietę, miłość, muzykę i życie... Ja mu ciągle pokazuję te suche, trupie skelety.

Na to wpadł ów niby Francuz, w istocie Duńczyk, a najprawdziwiej kosmopolita; żywo wcisnął się łokciami rozbijając grupę, między nich, obejmował do koła i z niechęcią splunął.

— *Saperlotte!* rzekł, z przeproszeniem waszém, gdybym był wiedział, że piękna dama wczorajsza nie będzie na schadzce, byłbym i ja do was, szanowni młodzieńcy się nie fatygował. Miałem wielką ochotę pójść na teatr włoski... teatr włoski, *bien primitif*, *bien barbare*, byłby mnie zajął i orzeźwił. Ale te czarne oczy, nawet nieco wypłakane i zapadłe a zawsze tyle mówiące, zwabiły mnie na *Aqua Solo*.... Gdyby miała przyjść jużby była przyszła!... złapałem się szkaradnie.

— Ale na teatr jeszcze może być czas, odparł zimno cygan dobywając zegarka.

— Tak! ale gdyby ona nadeszła, rzekł Francuz, ona! ona! *c'est l'inconnu! c'est l'inprevu!* Jak myślicie, dorzucił nagle, ta ona, kto to może być?

— Dawna artystka, lub artystka jeszcze... rzekł cygan, sama to przecie wypowiadała, kapłanka Thalii, wątpię, ażeby razem była Westalką... hm!

— Wdowa! wdowa! dodał Luca, mówiła o tem.

— Tak! przypominam się — wdowa, *c'est bien porté*, wdowa... ale ma aż dwóch wzdychających na nieszczęście, rzekł Francuz... Rossyanina i Polaka... Nie wiecież panowie, co to za jedni? bogaci? ubodzy? dawno z nią?

— Nie wiem, odparł cygan sucho.

— *Chi lo sà!* rozśmiał się Pimate.

— Ale Rossyanin wiemy że jest wygnańcem, przerwał rozweselony także Barbaro. Jeśli z ojczyzny się ratując zabrał z sobą sakwy — może być niebezpiecznym, gdyż Moskale bywają bajecznie bogaci... i powszechnie każdy z nich ma wydzieloną przez rząd kopalnię złota... Ale ratując głowę od stryczka może nie uratował worka i posiada tylko osobiste przymioty... naówczas staje się *plus vulne rable*. Polak zaś, Galicyanin, młody... młodość to

kapitał... Panowie zresztą, jako Polacy, lepiej osądzić co może być wart i o ile strasznym jest Galicyanin.

— Galicyanin w ogóle, rzekł Iwaś cicho bywa hrabią... podróżujący wszyscy niemal należą do tego gatunku. Bywają i bogaci, ale od r. 1848 powszechniej tylko pozornie. Nie uważam go za niebezpiecznego, chybaby miłość własna była zadrażniona...

— A! a! ale otóż i ona! i ona! krzyknął Francuz patrząc w ulicę i spostrzegłszy właśnie piękniejszą dziś jeszcze brunetkę.

— A! co widzę! dodał — sama z Moskałem... Zły znak! Galicyan więc był przypadkowy! — sami *bec à bec*, we dwoje... rzecz się komplikuje... Gdzie jest dwóch tam i trzech być może, ale gdzie jest jeden, tam drugiemu przyczepić się bywa trudniej.

Wszyscy się uśmiechnęli.

— Mocny jest w teoryi sztuki! rzekł cygan kiwając głową.

Milczenie trwało chwilę.

Czarowna Lucia Colomi zbliżała się. Była w istocie stokroć piękniejszą niż wczora; miała czas wyświeżyć się, odmłodzić, uczynić piękną... oczy jej pływały we łzach nie wypłakanych, a uśmiech błyskał się po ustach. Moskal szedł za nią czegoś smu-

tny, może dla tego że ona była wesołą... (barwa dopełniająca jest w naturze rzeczy).

Włoszka podeszła wprost do Iwasia i podała mu malutką rączkę uwieczoną w mniejszej jeszcze rękawiczce jasnej, zapytując go z wielkiem zajęciem.

— *Va bene?*

— Dziękuję, odpowiedział Iwaś — ani śladu wczorajszej choroby mojej... blizna na skroni to tylko miła dla mnie pamiątka... waszej dla mnie dobroci.

— O! o!

Włoszka ruszyła ramionami.

— Pochlebca!

Moskał witał się z przesadzoną grzecznością na wsze strony, usiłując dowieść że nie był niedźwiedziem.

— Ale i wy nie wszyscy...?

— Tak, braknie nam, rzekł Jakób, jednego który już nie przybędzie — Niemca. Trafiła mu się okazya do Pizy na której coś oszczędził, a w dodatku jeszcze z tajnym radzcą *von*... dla tego opuścić nas był zmuszonym. Nie jeździ się codziennie z tajnymi radzcami, którym *von*, świeżo nadano za zasługi. To *von*, nowiuteńkie, jak z igły, ma całą

woń tylko co rozkwitłej róży — jakże się nią nie napawać?? Ale i pani, dorzucił Jakób, zgubiłaś gdzieś jednego z towarzyszków?

— A! prawda! odezwała się Lucia. *Il Conte.*

— Zgadłem! rzekł Iwaś z cicha...

— *Il Conte...* zdaje mi się o południu miał wyruszyć do Spezyi.

— Wczoraj nam wszakże nie wspominał o tym zamiarze...

Moskał odwrócił się patrząc na morze, którego ztąd bardzo niewiele widać było.

Włoszka uśmiechała się dziwnie, zakrywając usta wachlarzem, aby uśmiech może uwydatnić jeszcze.

— Prawdziwie nie wiem... nie wiem co się z nim stało! miał wyjechać... Gotowabym go posądzić — jeśli mam prawdę powiedzieć, że się trochę uląkł swoich ziomków, bo wczoraj bardzo jałkoś boleśnie nad tym wypadkiem spotkania utyskiwał. Może mi panowie powiecie, dodała... Co to jest za kraj ta Galicya? Młody człowiek ciągle powtarzał że nie jest Polakiem, że nie jest także Austryakiem, że jest Galicyaninem.

Iwaś i Jakób uśmiechnęli się do siebie ale nie nie odpowiedzieli.



— Nie osierocił nas zbyt, podchwycił Iwaś — żałoby po nim nie włożymy.

— A! ja go żałuję, rzekła Lucia, możnaby łatwo zrobić z niego wcale znośnego człowieka, tylko jest jeszcze jak orzech włoski, w młodej a gorzkiej łupinie.

— *Signora*, przerwał Jakób — ta łupina ręce wala, niech go sobie kto inny z niej obiera.

Zaczęli się wszyscy śmiać. Moskał sumował.

— *Aqua Sola!* jak to ślicznie brzmi! zawołała wiodąc ich za sobą ulicą Włoszka, a jakie to małe, skromne i — prawdę powiedziawszy — nudne... Kilka drzew, odrobinka wody, dużo ciżby... pył się znajdzie a morza ledwie widać kącik. *Povera Genova!*

— No! a myż! zawołał Moskał, my cośmy sobie po niej tyle obiecywali?

Francuz duński korzystając z ewolucyi przechadzki przysunął się natrętnie do Włoszki, było to nawet dosyć niezręcznem i wyraźnem. Ta spojrzała na niego z góry i uśmiechnęła się prawie z politowaniem. Zdradził się tym ruchem, a uśmiech, gdyby go był dostrzegł, odpowiedziałby mu wyraźnie.

— Nie miej nadziei.

Francuz go szczęściem nie zobaczył, a nawet widząc nie byłby stracił odwagi wrodzonej, choć pozornie. Włoszka widocznie mu głowę zawracała. Ona była więcjęj zajęta Iwasiem niżeli innymi. Po chwili ucinanej rozmowy, zapytała go z cicha.

— Pan jedziesz do Polski?

— Tak jest! rzekł wzdychając Iwaś.

— Ja jestem przesadną! dziwnie przesadną, mówiła dalej — wybieram się właśnie także do Polski... Uważam to za coś bardzo znaczącego że na drodze tak miłą zrobiła z Polakiem znajomość.

— Pani się wybierasz do Polski? smutnie zapytał młody człowiek... ależ Polska, pani, to dziś w ustach Europejczyka, abstrakcja. Tyle jest różnych Polsk... a nie ma jednak Polski; Polska moskiewska, Polska kongresowa... Polska pruska, Polska austriacka...

— A! tego ja nawet nie wiem do jakiej ja jadę — ale, proszę mi powiedzieć, w której leży Warszawa? spytała Włoszka.

— Jest to moje jakby rodzinne, tak ukochane miasto, odpowiedział Polak, jedna z dawnych stolic Polski, ostatnia... dziś owęj naszej idealnej, Polski której nie ma — stolica... miasto stołeczne kongresowej.

— Gubię się w tém, rzekła śmiejąc się Włoszka — a pan dokąd jedziesz, do Warszawy??

— Tak pani, nie wiem jednak ani jak dojadę, ani czy dojechawszy nie będę zmuszony dalszą odbywać podróż... dla zbadania życia w azyatyckich stepach...

— A! panowie wszyscy tak jesteście nieszczęśliwi...

— Nieszczęśliwi, pani, to mało! rzekł Polak... na to co się z nami dzieje nie ma wyrazu w żadnym języku... Nie mówmy o tém. Jakże się to stało, że pani jedziesz do Warszawy?

— Ja? ja? rzekła zmieszana trochę Włoszka — ale tak — z ciekawości tylko...

Spuściła oczy.

— A może, dodała po chwili — może też zaśpiewać co będę mogła w teatrze...

— O! mogę panią upewnić że najlepiej będziesz przyjętą... pułkownik Hauke jest wielce dla Włochów uprzejmy... i jak skoro się dowie...

— Pan mi pomożesz? spytała.

— Ja! ja! rozśmiał się Iwaś — a! pani, ja, jeśli tam powrócę... oko mnie ludzkie nie ujrzy... Wracam z tęsknicy, z niepokoju, ale mi się tam pokazać grozi śmiercią lub wygnaniem.

Włoszka spojrzała na niego i nagle zamilkła.

— Jużciż choć ja przecie, mogłabym tam pana zobaczyć, rzekła po chwili.

Iwaś smutnie potrząsł głową. Francuz duński który podsłuchiwał rozmowę, wymiarkował z niej tylko że Włoszka musi mieć zamiar opuścić Moskała, który jako wygnaniec i banita pod rząd moskiewski powrócić nie może. Tyle umiał jeografii politycznej że mógł to wykombinować — co dowodziło niepospolitą nauki, którą nie zawsze nawet dziennikarze obcy poszczycić się mogą.

— Więc pani porzucasz towarzysza podróży? podchwycił żywo.

— Ja? ktoż to panu powiedział? zawołała Włoszka mierzając go oczyma, a po chwili dodała: Tak! tak... muszę... zapewne... a mówiąc to spojrzała nań czule i z lekka westchnęła.

Gromow zaciął wargi, czoło mu się pofałdowało dziko.

— I jedziesz pani, tak sama! zawołał Francuz.

— Ale nie, nie sama! zafrasowana widocznie chmurno odpowiedziała Włoszka. — Pan mnie męczysz temi pytaniami... Ja jeszcze nie wiem sama co pocznę, nie lubię o tém mówić! Nie wiem — stanie się tak, inaczej — ktoż wie? *chi lo sà?*

— Ale jeśli pani rozkaże ja gotów jój jestem towarzyszyć na koniec świata! wybuchnął zapalony wielbiciel.

— Jużciż chyba pan żartujesz, a ja żartów tego rodzaju nie lubię! odezwała się Lucia surowo... bądź co bądź, towarzysza znajdě...

— Co za szkoda, że tak dzika! rzekł w duchu natręt.

Moskał milczał zadumany nie mieszając się wcale do rozmowy.

— Jestem bardzo ciekawa Polski i Rosyyi, poczęła przychodząc do siebie Colomi — mówią że Polacy i Rossyjanie czują i lubią sztukę, że są namiętnymi niekiedy diletantami...

— Była na to chwila — odezwał się żyd. Co się dzieje w Rosyyi, nie wiem, tam, przepraszam przytomnego, więcej się kochano podobno dotąd w artystkach niż w sztuce... W Polsce dziś wszystko pochłonęło jedno uczucie, dziś tam wre w kotłach gotująca się przyszłość. Czarownice Shakespeara skwarzą ją na rozdrożu czy aniołowie w niebiosach, — Bóg tylko wie, ale jak szeroka Polska... no... i moskiewskie Państwo — od Warty do morza Lodowatego, do Kaspji i Amuru, drga ziemia, biją serca, gotują się walki, bój — coś strasznego

i wielkiego co wstrząśnie światem do głębi. — Jakież śpiew może tam dostać się do ucha w które bije działo wieków gromami przyszłości?

— No! to mieć będę może tę pociechę, zawołała Włoszka, że zanucę pieśń zwycięstwa.

— Albo hymn śmierci! dodał Jakób ponuro.

— Lub piosenkę *intermezzo*, która da wytchnąć i zapomnieć tragedyi życia... Przyznam się wami, rzekła Colomi, że mi ta Europa ostygła, zdrętwiała, martwa, wyżyta, zużyta, zeschła jak bukiet który ze śmiecisca podnosi gałganiarka, znudziła się, sprzykrzyła... obrzydła... Tu już nie ma iskry życia...

— Nigdybym się był po pani tego komunału nie spodziewał, odparł Francuz. Europa póki była młodą szalała, przyszedł dla niej wiek dojrzałości, to prawda, *elle est un peu mûre*, ale jeszcze wcale miła. Co pani chcesz? dziś dzieci się inaczej rodzą, od razu stare, ale rozumne. Młodzieniec lat dziewiętnastu pogląda na świat z pogardą pijaka który puhar wychylił do dna. Życia nie ma później, nie przeczę — ale za to: za to nam wszystko wolno! Nie ma baryer na gościńcu życia — szosowego nie płacimy, ruszaj gdzie oczy poniosą. Jużciż i to coś warto! Dawniej tysiące przepisów, praw, prze-

sądów trzymały na wodzy, chodziliśmy jak dzieci na paskach, dziś nikt się nie dziwuje niczemu i nikt nie nie broni — byle zręcznie!!

— I nic też nie ma ceny, nic nie smakuje! dodała Włoszka.

— Pani, przerwał muzyk z zapalem — nim dalsza rozmowa pójdzie tym torem, zaklinam was, raczcie mnie wysłuchać!!

— Najchętniej, odpowiedziała zdumiona Lucia, ale o cóż idzie?

— Pani! o życie moje! dodał Włoch... Moskal odwrócił się ku niemu, groźnie razem i szydersko.

— Mogę zabrać głos! rzekł muzyk.

— Prosimy...

— Siadajcież państwo na ławkach... poczynam! Skłonił się i odchrząknął.

— Chociażby się państwu zdawać mogło że od rzeczy prawię, dorzucił, błagam wysłuchajcie mnie cierpliwie do końca...

— Tak, *respice finem*, szepnął szydersko Francuz.

— Ja i mój towarzysz, mówił Włoch, jesteśmy dwojgiem dzieci tych części Italii które się jeszcze z matką połączyć nie mogły; płaczemy nad losami naszymi, kajdany namulały nam ręce... Wydostaliśmy się z ziemi niewoli, z pod *piombi* więzienia



aby tu odetchnąć i nabrać życia. Kędy stopą dotkniemy, gdzie się kolwiek usta ku nam otworzą, ściga nas i prześladowuje polityka, ekonomia niepolityczna lub filozofia społeczna. Zlitujcie się nad nami... mówcie o czém chcecie, byle o czém innem.

— Kochany rozpieszczony Włochu, odezwał się Duńczyk-Francuz — to darmo... wiek nasz je swoją strawę na tym sosie, nie unikniecie go.

— Nie możnażby mówić o muzyce?

— Muzyka stała się muzyką przyszłości a Wagner jój prorok jest, jak wiecie, zajadłym politykiem...

— O sztuce!

— Sztuka stała się wychowanicą filozofii i historii, trzyma się ich nieodstępnie...

— No, to o życiu, o fraszkach... o mieście, o pogodzie, o czem chcecie... ale jabym chciał poczuć żem młody i artysta.

— Młodych nie ma, odparł żyd z uśmiechem, a artystów pozabijali blagerowie.

— Cóż więc pozostanie spragnionym życia?... zawołał Włoch.

— Jedno tylko, rzekł Francuz z powagą wielką — upić się.

— A! a potem? spytał Włoch.

— To już zależy od temperamentu, zasnąć lub...

Gdy tak gwarzyli, z okna sąsiedniego domu dała się słyszeć muzyka. Wieczne powietrze niosło ją na falach swych pieszczoną, miękką, rozmarzoną i tęskną... wszyscy ucichli i ustawili ucha.

Nie była to muzyka włoska... ktoś towarzysząc sobie na fortepianie śpiewał; cichy głos młody, sympatyczny nucił z wielką metodą i wprawą wielką jakąś tęsknicę, genialnie wyrażoną przez wielkiego mistrza.

Włoch poznał w niej śpiewkę uroczą Mendelssohn'a... zdjął kapelusz, rozpromieniło mu się oblicze, zadumał się, postąpił kilka kroków i ręką dał znak aby milczano...

Melodya coraz wydatniejsza płynęła smutnie, poważna, tęsknicą przejęta, oryginalnie ale wspaniale przyobleczona w kunsztowne szaty.

Po łatwych piosenkach włoskich ledwie obrzucanych od niechcenia jakim takim łachmanem harmonii, wyglądała pieśń ta jak wielka pani. Włoch który niewiele słyszał muzyki niemieckiej, zwłaszcza śpiewu, czuł się niemi jak jakimś objawieniem przejęty.

Tajemniczość tego śpiewu ulatującego oknem z jakichś ust nieznanych, urok głosu niewieściego,

młodego, tęsknota melodyi, nadawały jój wdzięk nieopisany.

Z za żaluzji domu blizkiego Akademii Medycznej, wydobywał się ten śpiew, widocznie nucony dla siebie: ale powietrze chwyciło go niedyskretne i do uszów przechodzących zaniósło.

— Jest to ładne, rzekł Francuz, ale coś w rodzaju muzyki przyszłości!

— Ale milczy pan, przerywała mu Lucia rozgniewana, to cudowne!

W téj chwili śpiew konający powoli, cichł, rozpływał się, — umarł...

Kilka dźwięków fortepianu rozległy się pogrzebowem pożegnaniem. Wszyscy stali skupieni naprzeciwko domu z którego się dał słyszeć, a wielkie zajęcie pieśnią nie dało im dostrzedz że Jakób w pierwszej chwili gdy ona ich doleciała, pobladł rozpoznawszy głos... stał potem jak wryty rękę trzymając na piersiach... zmieszany i przestraszony prawie.

Twarz jego zmieniała się do niepoznania jakąś boleścią tajemną, pierwszy Iwaś dostrzegł téj zmiany i przybliżył się do żyda.

— Co ci to jest? zapytał — widzę że nadto je-

steś poruszony, ażeby sama muzyka miała być tego przyczyną...

Żyd spojrzał nań z roztargnieniem, nic nie odpowiedział i podziękował tylko za troskliwość przymuszonym uśmiechem.

— A! czekajmy chwilę! może jeszcze co zaśpiewa... zawołała Włoszka.

— Zawołajmy — *brava* i *bis*! rzekł śmiejąc się Duńczyk.

Jakób się oburzył, inni także; stali w milczeniu, ale czekając napróżno, patrząc daremnie na drzwi domu z którego piękny ten głos się dał słyszeć.

Po dłuższej chwili otwarły się one i młoda kobieta bardzo skromnie ale smakownie ubrana, wyszła z nich z mężczyzną również młodym, dosyć przystojnym, w którego rysach pochodzenie wschodnie było widocznem.

Oboje ścigani wzrokiem ciekawych przeszli z wolna na Aqua Sola. Mężczyzna mógł mieć lat trzydzieści kilka, kobieta może dwadzieścia, wyglądała młodo ale słabowito. — Brunetka, blada z czarnych oczów dwojgiem pełnemi wyrazu, rysy miała poważnie piękne lecz dziwnie smutne jak anioła śmierci: tęsknica, znużenie jakieś oblewały twarz pokojem

fałszywym, który był jakby snem i zdrętwieniem bóleści. Nic oprócz głębokiego smutku nie widać było w tém obliczu młodziuchném a już uwieǳłém. — Ubior jój skromny, niepokazny, ciemny, odpowiadał dobrze charakterowi surowemu twarzy i postaci, nie był jednak pozbawionym smaku i uczucia piękna.

Towarzysz téj pani mimo pozorów gentlemana nadto jakoś wydawał się dumny, zbyt widocznie chciał odegrywać rolę wielkiego pana, ażeby nim być mógł w istocie. — Na czole jego wypisany był rozum chłodny i ambicya nieznierzona... dalej po za tém trudno było wynaleść w téj twarzy odbicia uczuć ludzkich, ale za to namiętności wypaliły się wyraźnie w oczach jego czarnych, na ustach ruchomych i rozkwitłych, a w ścięgnach oblicza widać było ślady gry ich gwałtownej.

Rozum zimny z namiętnością zwierzęcą godziły się tu dziwnie, na starcie tego co zwiemy uczuciem, co inni wyrażają — sercem.

Pomimo bardzo oglądzonej powierzchowności, człowiek ten chłodny, przyzwoity, na pozór delikatny, przejmował jakimś strachem, czuć było że w nim nie mogła mieszkać litość, że szyderstwo towarzyszyć musiało temu egoizmowi, który zbu-

dował sobie cały spójny system na obronę, cały program życia, od którego nie mógł nigdy odstąpić. Na straży stał temperament i wykształcenie ułomne. Wszystko to tak było widoczném, że ubogi nie byłby go, rzuciwszy nań okiem, ani próbował poprosić o jałmużnę, spotkawszy się z nim sam na sam; — przy mnogich świadkach — może.

Pomimo nader grzecznego obejścia z kobietą, która widocznie zdawała się być jego żoną, czuć było w ich stosunku niedolę i niewolę; ciągnąć się ją zdawał za sobą jak ofiarę. Ona szła jakby nie wiedząc co czyni, nie patrząc nawet przed siebie, on poziewał roztargniony.

Jedno spojrzenie na tę kobietę natchnęło wszystkich domysłem, że ona to być musiała ową tajemniczą śpiewaczką.

Jakób stał ciągle jak wryty, jakby nieprzytomny; zdawał się nie rozumieć że był na drodze właśnie, którą z ulicy ci państwo przechodzić musieli, aby wejść na Aqua Sola, ku której dążyli widocznie. Oczy jego wlepione były w kobietę, która go dotąd niepostrzegła, bo wzrok miała w ziemię wlepiony. Roztargniony jój towarzysz nie widział także Jakóba, i zobaczył go dopiero o krok stanąwszy od niego. Nagle postrzegłszy go namar-

szczył mimowoli brew, zacięły mu się usta, ale ten przelotny wyraz znikł natychmiast pod konwencyonalnym uśmiechem powitania; kobieta instynktowo podniósłszy głowę, zobaczyła go także, cofnęła się i jakby przerażona krzyknęła.

Głos ten dopiero ocucił Jakóba który pospiesznie, zdjęwszy kapelusz, przywitał idących stając z boku drogi.

— Cóż za najdziwniejsze w świecie spotkanie! rozśmiał się sucho podając rękę Jakóbowi nieznanemu, niezbyt serdecznie może ale z grzecznością wielką. I spieszenie dodał:

— Jakże? zkadże? dokąd? i co ty tu robisz?

Kobieta uspokojona podniosła oczy, wpatrzyła się długo, uśmiechnęła smętnie i dodała:

— To prawda że dziwne spotkanie. Głos jój był nieco drżący.

— Najdziwniejsze, najniespodziewańsze a najszczęśliwsze dla mnie, zawołał Jakób ze wzruszeniem, wracam po dość długiej pielgrzymce do kraju. Chciałem przebiez i poznać tę część Włoch sławną ze swój piękności, szczególnież drogę nadmorską. Wypadek wstrzymał mnie nieco w Genui... Dziś, przed chwilą w towarzystwie innych podróżnych podziwiających cudowny głos pani, stanąłem



jak wryty pod ję oknami, poznaawszy go. Bo nie ma dwóch takich głosów na świecie.

Mężczyzna jeżeli nie kwaśno to dosyć obojętnie zdawał się przyjmować grzeczności Jakóba, pani nie odpowiedziała nic, spuściła oczy zarumieniona nieco.

— Ale cóż państwo robicie w Genui? spytał Jakób.

— A! my, my się sobie włączemy, odpowiedział mężczyzna. Doktor Lebrun kazał Matyldzie odechnąć cieplejszém powietrzem, znajdował kaszelek ję jakimś niedobrym. . . . Więc wybraliśny się tu, na to piękne wybrzeże włoskie. . . . i dychamy całą piersią. . . . atmosfera dziwnie posilająca. . . .

— A jakże pani znajdujesz Włochy? spytał Jakób.

— Jest to dla mnie jakby sen o tym Wschodzie którego nie widziała, odpowiedziała z wolna Matylda, a do którego jak do ojczyzny wzdycha dusza moja. . . . Włochy są cudowne. . . .

Gdy tak rozmawiali stojąc, Jakób postrzegł że ich może nadto na wystrzały oczów całego towarzystwa rozciekawionych narażał i sam nie wiedział czy iść dalej z niemi, czy pożegnać, gdy grzeczny mąż pięknej niewiasty pociągnął go z sobą.

— Ale przejdźże się choć chwilę z nami, rzekł uprzejmie.

— Służę państwu, odparł Jakob, tylko moje towarzystwo pożegnam.

To mówiąc, szepnął Iwasiowi, który go z oka nie spuszczał aby wytłumaczył towarzystwu że się oddalić musi, prosząc razem aby nań poczekał, i poszedł z tajemniczą parą ową, powszechną obudzając ciekawość.

— Ah! zawołała Włoszka dowiadując się od Iwasia że mu oczekiwać kazano... ja tu także choćby do późnej nocy poczekam, aby się dowiedzieć co są ci państwo, kto jest ta piękna śpiewaczka i czybym jeszcze kiedy głosu jój usłyszeć nie mogła... albo nie, przerwała nagle spojrzawszy na towarzysza. — Gdzie panowie stoicie? spytała Iwasia.

— My, w hotelu Federa.

— Wybornie, jesteście o dwa kroki odemnie, od hotelu francuzkiego, czekaj pan na swojego towarzysza i przyprowadź mi go koniecznie na herbatę. Ja bodaj do północy wyglądać was będę... choćby i do rana, jestem ciekawa, mam do tego prawo... jako kobieta...

To mówiąc obróciła się do Francuza i Włochów

— Signori! nie odmówicie mi także? Wszyscy się grzecznie skłonili.

Na tém rozmowa i przechadzka się skończyła. Lucia ujęła podaną rękę Moskala i poszła z nim rozmawiając żywo. Iwaś został z Włochami, Francuz i Gako udali się każdy w inną ulicę. Cygan nieopodal zaraz upadł na ławę i ziewnął.

— Przysięgnę, że to spotkanie, ten pan i ci państwo, to cała historia, to romans pełen tajemnic, mówiła Lucia do ruszającego ramionami towarzysza.... Czy widziałeś jak on na nią patrzył, czyś słyszał jak ona krzyknęła?... To mąż a to jest kochanek... przysięgnę... czytałam w ich oczach. Ah! jakże jestem ciekawa dowiedzieć się coś o tém, ale czy przyjdzie? czy nam co zechce powiedzieć?... Bylem go zobaczyła, wyciągnę to z niego! Moskal się uśmiechał.

— Cóż nam z tego? spytał.

— Przecież to ciekawsze od książek których ty tyle połykasz, odparła Włoszka, ja życie nad bajkę przekładam....

Na pustej ławce ogródka Aqua Sola siedział biedny Iwaś ze spuszczoną głową; widok tych mężczyzn i kobiet, ludzi co mieli czas i swobodę zajęcia serca kochaniem — głów czém inném nad nieszczęście własne i ogólne; trzpiotania się jak ptaszęta swobodnie — dziwne na nim robił wrażenie. On należał do tych wydziedziczonych dla których wszystkie żywsze rokosze życia były zaparte.

Głód, nędza, męczeństwo politycznych namiętności paliły go — myślał o kraju, o przyszłości, szukał w niebiosach ratunku niemożliwego na swoje i ogólne bole. Cóż go obchodzić mogły szczebioczące słodko kobiety, ich spotkania, znajomości, słodkie wejrzenia i szeptu obiecujące — jego co nie miał na jutro chleba ani na jutro nadziei, jego którego niewymowna pędziła tęsknica... na męczarnie, jego co życie stawiał aby tej ziemi powietrzem odetchnąć, dla której gotów był poświęcić wszystko.

Dreczył się myślami, ściemniało, chłód od morza zawiewał, gdy cień białej sukni znikł z ulicy i ktoś z lekka uderzył go po ramieniu — Jakób stał przed nim.

— Chodźmy do domu, rzekł, chodźmy.

— Służę ci, odparł Iwaś, ale nie do domu, oba jesteście natarczywie zaproszeni, czeka na nas grzeczna Włoszka nasza Colomi w hotelu francuskim z herbatą.

— A cóż znowu! zawołał Jakób — ja potrzebuję samotności. Czy przyrzekłeś?

— Jak prawie... bo ja — wcale samotności nie potrzebuję, odparł Iwaś — ani nawet sądzę byś ty jej, szanowny mój dwudniowy przyjacielu, tak bardzo miał pożądać. Mało się znamy, ale są rzeczy które się czyta w sercu człowieka jak gdyby człowiek był szklanny... chodźmy razem. Włoszka jest niepohamowanie ciekawą, jeśli ty do niej pójść nie zechcesz, ona do nas przybiedz gotowa. Toby było gorzej, nie ma sposobu, idziemy.

Jakób zmarszczył się nieco, ale prędko rozchmurzył.

— Prawda, rzekł, na stare rany ciepłe nakazują powietrze, idźmy się trochę rozgrzać rozmową, zadurzyć, ogłuszyć, śmiać, szaleć.

— Aha! stare rany! podchwycił Iwaś — więc ta pani...

— A! dajcież mi pokój z tą panią! ofuknął się Jakób. Czyż nie rozumiecie że są ludzie, są twarze, imiona które cały szereg postaci z przeszłości wloką za sobą łańcuchem. Powinieneś być raczej powiedzieć, ten pan niż ta pani, ta pani to tylko nieszczęśliwa istota, która powoli kona w objęciach szczęścia.

Ale chodźmy, dodał popędliwie, chodźmy, chodźmy, będę wesołym na złość.

— Komu? zapytał Iwaś.

— Wspomnieniom żałobnym...

Zamilkli. Szparko puścił się Jakób przez ciemniejące uliczki ku wybrzeżu. Na placyku przed dwoma hotelami, na którym zwykle dla bliskości giełdy, bywa tak gwarno i ludno co rana, tym razem pusto było i smutno. Nie zachodząc do Federa weszli na pierwsze piętro francuzkiego hotelu.

Colomi zajmowała salonik bardzo ładny i świeży, w którym znajdowało się prawie całe towarzystwo. Moskal na balkonie sparty palił cygaretkę zamyślony; Lucia sama gospodarzyła i przyjmowała u siebie.

Widać że ci goście improwizowani nie bardzo

towarzyszowi jój przypadli do smaku, bo milczał jakoś posepny, nie mieszając się prawie do rozmowy.

Cygan usadowiwszy się jak najwygodniój na kanapie wodził oczyma po salonie jakby go nic w świecie nie zajmowało, Francuz był nadskakujący, dwaj Włosi pełni życia, muzyk szczególniój wesół i ochoczy.

Na widok otwierających się drzwi, wchodzącego Jakóba, Lucia sama pierwsza poskoczyła ku niemu, oczy jój płonęły.

— A! *grazie tante! grazie tante*, zawołała — jakżeście grzeczni żeście przyjść raczyli — to ofiara! pojmuję.

— A! coż znowu! wesóło, bo chciał być gwałtem wesół, odezwał się Jakób, coż za ofiara przyjść spędzić część wieczora w tak przyjemném towarzystwie... i patrzeć na panią!

— A! pochlebca niegodny! rozśmiała się Włoszka uderzając go po rękach — cichoż mi z komplementami... bo to nieprawda! Siadaj pan zaraz i mów z kim się spotkałeś? kto jest ta piękna pani co śpiewa tak tęskno że słuchając jój chce się zapłakać? Dla czego ona ujrawszy pana krzyknęła? czemu pan zobaczywszy ją pobladłeś?



Jakób miał wiele mocy nad sobą, lub może wszyscy posądzający go mylili się — zaczął się bowiem śmiać szczerze, tak szczerze i serdecznie że nawet kobietę oszukał, a przynajmniej zachwiał cokolwiek jój wiarę w romans jakiś i tajemniczą historią, o której udział go posądzała.

— O! pani masz prawdziwie włoską wyobraźnię, zawołał, widzę żeś dośpiewała pieśni smutnej w sobie, i żeś mnie wplotła w wieniec cierniowy który ta istota nosi, ale, niestety! kosztuje mnie wiele, niemniej, miłując prawdę muszę się wyrzec tego bohaterstwa... i zejść na prostego widza w tłumie a urok jaki mi nadaje ta zagadka rozpędzić. Tę panią ja znam zaledwie tyle — ile współziomkowie znają, a co więcej współwyznawcy... Ona i mąż jój, jak ja są z Warszawy i jak ja są żydzi; naturalnie więc znany się dobrze i znamy od dawna. Otóż cała zimna prozaiczna prawda.

Włoszka tupała nóżką niecierpliwie.

— Ta prawda nie może być prawdą, rzekła, ja patrzałam na pana w chwili gdy ją ujrzałeś.

Jakób powtórnie na usta uśmiech przywołał.

— W istocie, rzekł, musiałem mieć postawę tragiczną i fizyognomią zdziwioną... bo mi jest znana dobrze smutna historia téj kobiety.

— A! więc jest historia... i smutna! widzisz pan! jest historia téj kobiety... podchwyciła Lucia.

— Temu nie przeczę, rzekł żyd — tylko niestety! ja w niej żadnej nie grałem roli.

Włoszka spojrzała mu w oczy ale wytrzymał to badając wejrzenie i nie wydał się z żadnym uczuciem.

— Zaklinam pana, odezwała się Lucia chwytając go za obie ręce i wdzięcząc się do niego — pan mi powiesz tę historią, nieprawdaż?... Ja jestem kobieta... ciekawa... ja proszę, ja umieram z pragnienia.

— Uprzedzam panią że to jest zresztą historia bardzo pospolita, przerwał Jakób, ale jest w niej pewien odcień żydowski, nasz... mniej dla was zrozumiały... Więc, rzecz oklepana, barwa dziwna a co do mnie, jestem najgorszym opowiadaczem powieści; mam to w naturze iż mówię długo i nudnie.

— Tém lepiej, gotowiśmy słuchać do rana, ale nie męcz nas pan i zaczynaj zaraz.

— A! pozwól mi pani odetchnąć, rzekł Jakób rękę po czołe przesuwając, i siadł milczący.

— Jeśli historia w istocie długą jest, jak się to pan zdajesz zapowiadać, a w niej gra rolę sen-

tymentalna kobieta... uchwaj Boże, jeszcze suchotnica, przy tém mąż głupi i wielkiój szlachetności kochanek, to bądź co bądź ja jój słuchać nie będę, przerwał Francuz *je sors d'en prendre*, całą odgadnę od razu.

— Ja także, dodał cygan, bo to wiecznie taż sama historia, która się nieustannie powtarza... Ale któż się dziś jeszcze kocha!!

Włoszka zakrzyknęła przeciwko temu okrutnemu bluźnierstwu, ale cygan nie zważając na to, mówił dalej spokojnie.

— Powinniście to państwo byli zauważać że czasy miłości rycerskiój przechodzą, jeśli już nie przeszły... tylko gołębie są tak naiwne że zdychają z tęsknoty po sobie. Czytałem to że średnie wieki *chevalerya* wydała tę miłość absolutną, na którą potem ludzkość chorowała kilka set lat; dziś jak we wszystkiém tak i w tém, ludzie wracają do dawnego porządku. Za sto lat dziwić się będą że się kiedyś kochać mogli... a po trosze i śmiać z tego.

Mówię tu tylko o téj miłości przesadzonój Koloandrów, bo ta miłość jaką miała Calypso dla przystojnego wojaka, lub Neron dla pięknej Poppei — ta wiecznie trwać będzie; ta jest w porządku rzeczy ludzkich; tylko miłość wzdychająca, tęskniąca,

usychająca za idealną istotą już dziś wychodzi z obyczaju. Proszę mi pokazać kto się dziś wiekuiście kocha, a nawet kto dla miłości, choćby parę tysięcy franków dochodu poświęca?

Panny idą za mąż gdy ojcowie i matki im zaręczą że mąż dostatni, a przytem przyzwoity i niewstrętliwy, mężczyźni się żenią dla majątku i mienia, czasem dla młodości i wdzięków, ale nie dla tego kaprysu co się nazywał miłością.

— To coś okropnego! krzyknęła Włoszka, pan śmiesz utrzymywać...

— Faktami się świadczę, patrzajcie na świat, miłości tam nie zobaczycie... są upodobania, fantazye, zachcianki, namiętności, znudzenia, próby roztargnień, imaginacye... ale miłości nie znaleźć, gdzież ona?

Włoszka westchnęła.

— Jestże to postęp czy upadek? spytała.

— Ja nie wiem, rzekł cygan, dla was piękne panie smutno jest zejść z tego piedestału, który wybrane boginie wznosił nad pierwszą lepszą kobietę młodą, świeżą i uśmiczniętą... ale cóż począć przeciwko tym głupim faktom które są niezbite i uparte jak fakty?

— Ale czyż jednak jest to faktem? spytała Włoszka.

— Niestety! odparł cygan, nie narzucam wam przekonania mojego, ale proszę tylko, patrzajcie... Dawniej mówiono o miłości dwóch dusz stworzonych dla siebie, dziś się lubi ciał dwoje.

— Tak, to prawda po części, przerwał smutnie Jakób, ale świat odartym jest z tego uroku równie jak z wielu innych... niewiasta zeszła na kobietę jak życie zeszło na prozę. Tém gorzej gdy zabraknie ideałów, gdy źródło co żywiło poświęcenia wyschnie do dna. Zgadzam się na to co mówi pan Gako, ale do faktu jego dodam jeden komentarz, ludzie się nie kochają, to prawda, ale za to życie im tak stęskniało, że liczba rozpustnych samobójstw z nudy i znużenia powiększa się codziennie. Życie nie mamy o czém.

Włoszka klasnęła w dłonie i podała sorbet Jakóbowi, jakby nim chciała przypomnieć mu opowiadanie i zwilżyć doń usta. Cygan poziewał znówu, Moskał świeżą cygaretkę zapalał, Francuz wyliznął się cichaczem... wszyscy posiadali, a żyd naręście powoli mówić zaczął.

— Mało jest instytucji i praw fałszywiej w ogóle osądzonych i gorzej przez świat zrozumianych nad

stare Mojżeszowe prawo. Wolno mi go bronić, bo ono jest zakonem mojego narodu i jednym z najstarszych praw całej ludzkości; na jego tradycjach opiera się i wasze chrześcijańskie prawo. Nie zapominajmy że Chrystus powiedział, iż nie przyszedł go obalać ale dopełnić.

Powszechnie mniemają że w prawie tem kobieta została upośledzoną, że u Hebreów była niewolnicą. Tak nie było wcale.

Obyczaj narodu wiele odchodził od prawa, przesiąkał często barbarzyństwem wieków, nabierał form pogańskich ale samo prawo nie poniżało kobiety.

W języku biblii niewiasta zowie się mężyną, (Isz-Iszah) jest równą mężowi, jest przeznaczoną na towarzyszkę jego, na połowicę, na istotę swobodną. Nawet niewolnice wojenne szanować każe Mojżeszowe prawo (Deuteronom. XXI. 10. 15). Wieleństwo jest zakazanem wyraźnie, a skutki jego szkodliwe, demoralizujące wykazuje biblia cała. Wyjawszy kapłaństwo (choć i kobietom także wolno było przynosić ofiary) niewiasta u Hebreów we wszystkim stała na równi z mężczyzną. Żadne prawodawstwo nawet późniejsze (coż dopiero z wieków współczesnych lub blizkich Mojżeszowemu) nie podnosi kobiety do wysokości hebrejskiej niewiasty.

Matki Machabeuszów i Judythy... stawiają przykład  
czem one były.

Tak jest aż do epoki królów u Hebreów, później znika powoli niewiasta, ale też i naród upada; obyczaj pogański wciska się w rodzinę żydowską. — Wszakże i później jeszcze nawet tak szanowano wolę kobiety, że ojciec jej własny, który do lat dwunastu mógł rozporządzać dziećciem i przyobieczać je zamąż dopóki była małoletnią (Ketannah) nie mógł ją zmuszać do małżeństwa przeciw jej woli, gdy doszła do lat (Nairah).

Kobieta u nas była szanowaną, ale ciężkie czasy prześladowania i ją dotknęły... zamknęły w domu, odosobniły, skazały na pracę, naraziły na upadki. Naród też nasz cały, choć wyniósł z tych płomieni dogorywającej Troi swego Boga, nie zachował w całej czystości prawa i obyczaju dawnego. Nawet zbyt przywiązanie się do tradycji i martwej ich litery, odebrało im ducha. Społeczność nasza doszła tak do ostatnich czasów.

Równy z ustajacem prześladowaniem żydów, bezstronni ludzie dojrzeć mogą jego skutek; czego nie mogło dokazać najsroższe tępienie i nękanie, tego dopięła obojętność. Żydowska społeczność tak spójna w nieszczęściu rozprzegła się, złała ze światem ota-



czającym, zmieniała. Nie mogliśmy całkiem przestać być sobą, zetrzeć z czoła to co palcem Bóg na niem napisał, coś w sercu i duszy pozostało w nas odrębnego — ale z tęsknotą do utraconej ojczyzny ustającą, wystygłą, większość zubożniała dla wiary, podań, obyczajów i obrzędów.

Przebaczcie mi państwo ten wstęp poważny do sielankowej historyjki; znajdzie on swe zastosowanie w następnej powieści o kobiecie i mężczyźnie.

— Ja sądzę że przynajmniej dwóch mężczyzn w tej historyi znaleźćby się powinno? zawołała Włoszka z uśmiechem.

— Jednego dosyć będzie na wytłumaczenie wszystkiego, odparł Jakób, choć w istocie dwóch a nawet trzech mieścić się może w mojem opowiadaniu.

— A! bez tego nie byłoby dramatu! zawołała Włoszka.

— Pani, są i monodramy straszliwe z jednej osoby i jednego składające się serca, rzekł Izraelita.

— Widzieliście wszyscy, mówił dalej, przechodzącą tę niewiastę której głos doszedł was z okna... jest to... najnieszczęśliwsza z istot na ziemi, dla tego tylko że będąc Izraelitką, zmuszoną została być kobietą bez żadnej wiary, bez ojczyzny i bez

nadziei... żyć teraźniejszością i rzeczywistością surową... gorzkim chlebem szyderstwa i ironii.

Ojciec jój bogaty Izraelita, należał, należy raczej do tych którzy odebrawszy europejskie wychowanie zaczerpnęli z niego pełną dłoń wszelaki skeptycyzm... Prześladowani, poniżeni, rozjątrzeni na społeczność najłatwiej się nim poją. Sam o swych siłach dawszy sobie naukę, ogładę, sam dobiwszy się ogromnego majątku, uwierzyć musiał w człowieka, a resztę, wyższą, świętszą co wiąże go z ludzkością, z niebem, z Bogiem, jako mrzonkę odrzucił. Zabobonami wydały mu się wszystkie wiary, nawet jego własna; mistycyzmem chorobliwym pragnienia zaświatowe, słabościami uczucia... Dorabiając się majątku wypróbował on że robi się wiele wola żelazną gdy się nie szanuje ludzi, przyznał więc wiele woli, — szczęściu wiele, naostatek najwięcej może rozumowi. Po za tem nie było dlań już nic, prócz poematów tworzonych dla zabawy, dla ułudy lub na obalamucenie słabych.

Matka Tildy (jest to jój imie) była jeszcze prawą Izraelitką, ale ją bardzo wczesnie odumarła, później dziecię chowały obce, najemne niewiasty, szydzące z judaizmu, ale też żadnej nie mające wiary; później jeszcze dano jój czytać książki wszelakie kształcące

rozum, uczące sceptycyzmu, rozbijające mgły marzeń, odzierające ze złudzeń, hartujące do życia bez mrzonek, bez ideałów... do życia, powiedziałbym zwierzęcego niemal, ujętego w pewne formy cywilizowane.

Uczono ją tak jasno że nie ma właściwie cnoty ni występku a jest tylko rozum i głupota, przyzwoitość i nieprzyzwoitość, zdrowa rachuba i nieopatrzność zgubna — że biedne dziecko wysuszone zawczasu, odarte z tych skarbów któremi żyją szczególnież uczuciowe istoty — wyszło w świat ze strachem i wstrętem do świata. Świat przedstawiał się jęj jako tabliczka Pytagoresa, ludzie jak cyfry które rozumieć było potrzeba i spożytkować... Wyobrażenie jakie jęj dano o społeczeństwie wcale do niego nie nęciło.

Dla nięj potrzeba było tego zapachu, tęj woni uczucia w kwiecie życia, która mu urok daje; najcudniejszy kwiat ten był dla nięj martwym i zeschłym.

Nie dopuszczono się jęj ludzi — powiedziano zawczasu: Ludzie są źli, zimni, obłudni, trzeba się strzedz ich złości, na kłamanie uczucia nie rachować, słowom nie wierzyć, starać się nie kochać, aby nie być oszukaną. Zresztą dodano jako koro-

larium moralne. — Trzeba być pocziwą bo to daje spokój, a uczciwość jest najlepszą rachubą — występki niebezpieczeństwem; szkarady występku, wdzięku cnoty nikt jój nie ukazał — wedle téj teoryi występpek był prostą niezręcznością w sobie obojętną, cnota też nie miała blasku, ale procentowała na świecie... Hypotheka na niój była bezpieczna choć wielkich zysków nie obiecująca.

Ponieważ nie wiedziano jeszcze czy Tilda pójdzie za Izraelitę, za protestanta, czy za Turka lub za katolika, w rzeczach wiary i tradycyi, nie przywiązując do nich wagi zbyt znacznej, dano jój wolność oświecania się i pokierowania jak chciała... Czytała więc biblią, ale z téj biblii ojciec jój codzień się naśmiewał, a krytyka obalała ją i rzucała na śmiecie, czytała książki mistyczne i sceptycyzmu pełne, bez wyboru; z tego wszystkiego co się wzajem unieważniało, w młodym umyśle pozostało tylko niezmiernie zwątpienie.

Dodajmy do tego to wychowanie praktyczne, które usiłowało zawczasu wyrwać jój serce, jak się wyrывa ząb spróchniały aby później nie bolał, a będziemy mieli zarys tego co z nieszczęśliwego uczyniono dziecięcia.

Tilda wyszła w świat ślicznym posagiem, bez ochoty do życia, ze strachem i niepokojem...

Wiedziała od razu że nie będzie szczęśliwą, bo w takim świecie jaki dla niej stworzono nie ma szczęścia dla istot szlachetniejszych; to co w duszy czuła jako niezbędną potrzebę, nieusprawiedliwiała się prawami nadanemi dla żywota. Pragnęła czystego uczucia, wskazano jój rachubę jako jedną normę wszystkiego, a to uczucie jako fałsz, jako grzeszną słabość, jako głupkowatą chorobę ludzi przeznaczonych na zgubę i pogardę.

Mimo że wielu rzeczy nie wiedziała, bo je przed nią ukrywano starannie, domyślała się ich, trącała codzień o szorstką rzeczywistość stosunków dla niej niepojętych. Ojciec jój owdowiały żył wedle swój fantazyi, żadnemu nie ulegając prawu moralnemu, dogadzając zachceniom zwykłym w ludziach którym uczuć braknie a w zasady nie wierzą: wszystkiego pragnąc, chcąc się wszystkiem nasycić — co tylko dla nich jest dostępnem. Pomimo ściśle przestrzeganej przyzwoitości w domu, Tilda nie mogła nie widzieć ojca stosunków i nie przekonać się, że w nich serce najmniejszego nie miało udziału. Tysiąc razy jój młody instynkt szlachetny rozbił się krwawo o ten materyalizm ojcowski, który dla

świata przybierał się wspaniale, a w domu był bardzo powszednią i nielitościwą prozą przesiąkły. Inna kobieta pod wpływem tych zgubnych przykładów, w tej atmosferze uperfumowanej a chłodnej byłaby się zepsuła — ona zrozpaczyła tylko.

Nauka i sztuka stały się dla niej schronieniem wśród którego szukała ulgi i pociechy. Sztuka mówiła jej przynajmniej o tym świecie zaświatowym, któremu gdzieindziej przeciono, z którego szydzono, o uczuciu zapartém, o tém wszystkiem czego pragnęła, a czego ją pozbawiano.

Nie ma może straszniejszej męczarni nad taki żywot istoty szlachetniej uorganizowanej wpośród zwierzęcego społeczeństwa szyderców i sceptyków; kaleczącej się nieustannie o wszystko co ją dotyka.

Tilda w czternastym roku życia już była tak smutną, tak znudzoną tym bytem bez przyszłości i nadziei, jak jest dzisiaj. Przed nią wprawdzie była niezawodna, jasna, świetna pewność zamężcia które jej życie wygodne, miłe, wesołe zapewnić musiało... nic więcej. Ojciec przy swoim bogactwie, stosunkach i próżności, pewien był wyszukania dla niej męża młodego, dobrze wychowanego, bogatego. Że na inne warunki zważać nie miał, to było z góry przewidzianém, że nie ścierpiałby od córki którą

kochał po swojemu, większego nad swój rozum lub własnej jakiegś woli, to także nie ulegało wątpliwości.

Właśnie gdy wpośród tych zatrutych wyziewów dorastała, jak najstaranniej wychowywana pod innemi względami córka możnego Izraelity, w domu ich zjawił się...

— A! przecież, przerwała niecierpliwie Włoszka, oczekuję go od dawna... zjawił się — młody człowiek??

— Tak jest, ciągnął dalej Jakób, z niejakim wstętem przystępując do téj części opowiadania... tak jest, młody Izraelita. Pozwólcie mi państwo niezbyt ściśle określać charakter jego i ominąć ten wizerunek bohatera powieści mojej. Bohaterowie, nawet tak prawdziwych opowiadań jak moje, są w ogóle wszyscy do siebie podobni. Mają, jak wiecie, powierzchowność ujmującą, wszystkie cnoty, instynkta jak najszlachetniejsze, serce czułe, głowę trochę rozmarzoną i tam dalej, i tam dalej.

Mój mało co się naówczas różnił od pospolitych bohaterów, ale miał w dodatku pewne cechy właściwe sobie. Naprzód był to chłopak ubogi, a więc wychowany nie do salonu, ale przechodził



szkołę nędzy, upokorzenia, cierpienia i nie dał się złamać; był silen w sobie, energiczny choć wcale niepokąźny; dosyć skromny, cichy, w sobie zamknięty jak wszyscy co zawczasu cierpiąc doznali że popis z boleści wywołuje tylko szyderstwa, które ją podwajają.

Bogaty ów Izraelita, ojciec Tildy, był dalekim jego krewnym; wziął go na dokończenie wychowania, a dopatrzwszy w nim zdolności, zamierzał pokierować w świecie przez resztkę jakiegoś szlachetnego uczucia braterskiego obowiązku, która w nim stanowiła może ostatnią i jedyną cechę startego już żydostwa. Chciał go przytém użyć dla siebie jak spożytkowywał wszystkie zdolności na korzyść swoją; chciał może pochlubić się téż iż dał światu człowieka, po którym się wiele było można spodziewać. Nadzieje te nie były całkiem usprawiedliwione, bo młode i wczesne talenta, nie zawsze w przyszłości obiecują owoce.

Jakiś czas człowiek ów młody miał przebyć w domu lub przy domu swojego opiekuna; kończył on nauki a zarazem nabywał praktyki handlu, do którego był przeznaczonym. Protektor miał go później jeszcze wysłać za granicę aby się wykształcił i służył mu za narzędzie w jego spekulacjach

i obrotach jak księga podręczna, manual naukowy handlowo - ekonomiczny.

Tymczasem zbliżyć go do siebie pragnąc i zawczasu wprawić do przyszłej posługi; opiekun kazał mu bywać w swym domu nieomal codziennie, dał mu nawet mieszkanie w oficynach obszernych zabudowań, które były przepyszne, po pańsku urządzone dla niego i rodziny.

Nazwijmy młodego człowieka pierwszym lepszym imieniem.

— Więc choćby Jakóbem, cicho szepnął uśmiechając się Iwaś, którego odezwanie się ściągnęło nań wejrzenie Izraelity zdziwione i niespokojne.

— Ale nie, nie... rzekł żywo, imie mu było Jonasz, co z łatwością na sposób krajowy da się przerobić na Janusza... Więc Janusz.

— Ale nie przerywajcie mu państwo, odezwała się Włoszka, a więc Janusz.

— Pani, doprawdy nie wiem czy resztę opowiadać warto, tak jój się łatwo domyśleć. Pani nie byłabyś kobietą gdybyś jój nie odgadła. Dwie dusze sieroce, stęsknione, wierzące w poezję życia, nie mogły się spotkać bezkarnie. Tilda znalazła w nim istotę szlachetną, on w niej ideał jeszcze spotęgowany smutkiem, jeszcze urokliwszy tęsknotą,

tą cudowną powłoką, która uświęcać się zdaje, czegokolwiek dotknie.

Ale w domu opiekuna wszystko było przewidywanem ostrożnie, a najmniejszy pozór zbliżenia byłby ściągnął posądzenia i nielitościwe z raju wygnanie. Oboje tak to dobrze rozumieli i tak się tego lękali, iż największe czując ku sobie współczucie stali zdala, obojętni z obawy, aby podejrzenie nałżejsze, ostatniego im dobra nie wydarło.

Rozmowa wśród pełnego salonu wieczorem, na przechadzce, w ogrodzie, przy fortepianie Tildy; spojrzenia, pół słowa całą były zdobyczą... Ale i to tak stanowiło wiele!...

Ojciec ani przypuszczał nawet ażeby ubogie chłopię śmiało pomyśleć o milionowej dziedzicze, która mogła marzyć o jakim małym Rotschildziku. Zresztą jeżeli się jęj domyślał lekceważył może tę dziecinną miłość eteryczną, którą uważał za nieszkodliwą zabawkę młodemu wiekowi właściwą, a żadnych za sobą skutków nie mogącą pociągnąć.

Guwernantka Angielka trochę przywidła już panna, która lubiła się bawić w miłostki platoniczne i miała sama nieco słabości do młodego chłopaka, spodziewając się go mnóstwem talentów swych oczarować — nie zrażała wcale; brała ona jego zbli-

żanie się na własny rachunek, starała się go pociągnąć, — on z tego dla widzenia i rozmowy z piękną Tildą korzystał.

Opiekun dostrzegłszy strategii Angielki, bo miał na to oko wprawne bardzo, ponieważ sam ku niej nie czuł żadnego pociągu, nie wziął bynajmniej za złe młodemu chłopcu że korzystał ze słabostki Miss... napomniiał tylko żartobliwie aby zgorzenia jawnego nie było... Szło o przyzwoitość, o skutki jak najmniej... Wydawało mu się bardzo naturalnem iż chłopiec mężki swój zawód rozpoczynał.

Tu przerwał mowę Jakób, jakby mu zabrakło wątku, Włoszka podsunęła sorbet, milczeli wszyscy, po chwili począł głosem cichszym znużony.

— Niech każdy z was, słuchacze moi, przypomni sobie dni pierwszej młodości i pierwszy kwiat téj wiosny życia... pierwszą swą miłość. — Wyobraźcie sobie tę stęsknioną istotę której kazano czołgać się po ziemi, ulatającą ku niebiosom rozwinętemi skrzydły, nieśmiało, bojaźliwie, rokosznie zarazem i boleśnie. Tilda gdy już zwątpiła była o życiu, ujrzała przed sobą promieniejącą jego jutrzeńkę. Godziż się nawet domówić że miłość ta była dziecinnie czystą, cudownie, anielsko eteryczną. Młodzieniec czcił ją jak bóstwo, ona

widziała w nim zesłańca, co jój kraje nadziemskie zwiastował.

Otoż i koniec powieści... jedno uczucie ciche, niewyjawione, w sobie zamknięte...

Chodzili tak po ogródku i starczyło im dwóch słów by byli długo szczęśliwi, widzieli się raz w dnie z daleka, we wzroku swym czerpiąc do życia siły.

Nigdy nawet ten wyraz — miłość, ust im nie pokalał, była to nie namiętność młodzieńcza ale dziewicze, braterskie uczucie, instynktowe, nie wymarzone w głowie, ale wywołane serc jednako bijących potrzebą.

I mieli chwile rajskie milczenia jak poemat wymównego, rozmowy pół-słowy niezrozumiałe dla nikogo, szczęścia wieki w uśmiechu, pamiątki najdroższe w rzuconym kwiatku — wszystko co wiek późniejszy dzieciństwem nazywa, czego się zeschłe serce zapiera, z czego rozum obumarły szydzi...

Miłość ta niewidomą przeszła dla świata, pozostała najzupełniejszą tajemnicą i ani ojciec, ani podejrzliwa guwernantka nie domyślali się jój wcale. Ojciec nawet znajdował czasem że córka była na-  
zbyt nieśmiałą i zimną dla wychowanka domu, a Miss... wyśmiewała niezgrabstwo chłopaka gdy drzą-

cy zbliżał się do kuzynki. — Brak teorii czy praktyki — nie wiem — pocieszał ją tem że Janusz w jej towarzystwie nierównie był ożywionym bardziej i śmielszym.

Tak dramat ten sercowy, bez przyszłości i nadziei przeszedł dla nich obojga jak sen u drzwi raju.

Jednego poranka, myślę się jednego popołudnia ojciec oznajmił córce dość obojętnie, aby się przybrała staranniej, gdyż dnia tego spodziewał się na obiad gości.

Na chwilę przed obiadem, który zawsze bywał bardzo wykwiśnięty, ukazał się w salonie człowiek młody, bardzo przystojny, widocznie jak najlepiej wychowany, wybornie umiejący się znaleźć w towarzystwie, którego ojciec zaprezentował córce jako pana Henryka Segel.

Są przecucia; ten Antinous o czarnych palących oczach, o słodkim uśmiechu warg różowych, tak miły, tak dowcipny, śmiały, pewien siebie, tak nadskakujący, tak grzeczny — przestraszył Tildę.

Są wstręty niewytłumaczone chyba fizyologicznie lub psychologicznie — uczuła ku niemu jakąś instynktową dziwną, gwałtowną odrazę... choć nie mogła mu nic narzucić... Był ideałem młodego mężczyzny, okazało się nawet że lubił i znał dobrze mu-

zykę... a po cichu szeptano że ogromny miał majątek.

Trzeciego dnia potem bez żadnych pytań i przygotowań ojciec zapowiedział córce, nie badając wcale jej zdania, że pan Henryk Segel jest jej — narzeczonym.

Ojciec powiedział to winszując jej tylko że mu się bardzo podobała, żartując że się szalenie w niej zakochał, ale takim tonem że biedna najmniejszej nawet uwagi zrobić nie mogła; rzecz była rozstrzygnięta, postanowiona, skończona. Był w istocie tak przyzwoitym młodzieńcem, że wszelkie sprzeciwienie się z jej strony wydałoby się niedarowaném dziwactwem, kazano jej to uważać za szczęście.

Nie odpowiedziała więc słowa, pobladła tylko i zamilkła.

Powińszowania ze wszech stron sypały się gradem. Tilda cierpiała straszliwie, wstręt jej był nieprzewyciężony, wzrok zbolały mówił Jakóbowi...

— A! przepraszam, omyłka, przerwał Iwaś — wszakże podobno nazywał się Januszem.

Jakób zaczerwieniał i pobladł, zmieszał się, wątek opowiadania był przerwany, chwycił szklanę, poniósł ją do ust, postawił, potarł czoło... nie wiedział już co mówić dalej.



— Tak jest, tak jest, wyjąkał nareszcie, omyliłem się... tak jest... wzrok jój mówił... Ale prawdziwie nie wiem co plotę... A! tak, przepraszam, powracam do rzeczy i kończę wprędce.

— Nie spiesz się pan, cicho szepnęła Włoszka.

— Był wieczór, ciepły wieczór wiosenny, począł żywo żyd, bzy okwitały ostatkiem woni napelniając powietrze; na liściach perliły się kropelki rosy wiosennéj... ona i Miss Jenny wyszły na przechadzkę. Na ławce siedział Janusz z książką którą nie czytał. Angielka spostrzegłszy go skierowała ku niemu przechadzkę.

Szczęściem czy nieszczęściem jakimś, przyjaciółka jój Miss Fanny nadeszła w téj chwili w odwiedziny. Przypadek zrządził że Tilda została na chwilę sam na sam z biednym chłopcem, który był szczęśliwy nad wyraz i przestraszony tém szczęściem niewypowiedzianie. Szli obok siebie drżący, przybici, na pół żywi. Angielki miały mnóstwo pilnych rzeczy do powierzenia sobie pod największym sekretem, zostawiły ich na ścieżce. Gorzej, Miss Jenny szepnęła na ucho wychowanicy. Odprowadźże go od nas.

Szli więc sami i milczeli, ona zmięszana obrywała kwiatek z listków, a na listki jego jak rosa

wieczorna poczęły padać niewidziane we mroku łzy; on patrzył na nią i po mężku płakał wewnątrz, w własną duszę. — Tam łzy padały jak rozpalone iskry i gorzało mu łono. Nagle Tilda stanęła, podniosła głowę śmiało, zwycięsko, jakby złamała siebie samą, przyłożyła rękę do piersi, spojrzała na niego wejrzeniem niezapomnianem, jakby go oczyma poślubiła na wieki.

— Wkrótce, rzekła, rozstaniemy się, wiesz jakie czekają mnie losy... Miło mi będzie wspomnieć nasze spokojne przechadzki wieczorne, a wam, a tobie? będzieście o nich — i o mnie — pamiętał?

Pierwszy to raz w życiu mówiła do niego tym głosem rozplakany, z taką czułością, tak wyraźnie o sobie i o nich dwojgu, tak do serca. Janusz zbladł, zdało mu się że oszaleje... serce mu uderzyło tak że się za piersi pochwycił ręką drżącą.

— O tobie Tildo — o tém niemém szczęściu które przeżyłem tu z tobą... o! nie zapomnę do śmierci... po śmierci! Przysięgam ci że żadnej nigdy nie poślubię i nie pokocham kobiety, bom ciebie ukochał tak jak się raz tylko kocha w życiu.

Nie mówiłem o tém, potrzebaż mówić było? tyś wiedziała.

— Tak jest, wierzyłam w to i wierzę, odparła,

ale życie jest długie a pamięć niewierna. A! pamiętaj o mnie, dodała. Dla was, napisał ktoś, miłość jest zabawką tylko, dla nas ona życiem całym... Jam kochała ciebie i kochać będę.

Jakieś ciche łkanie stłumiło cicho wyrzeczone wyrazy.

— O! nie dla mnie, nie dla mnie miłość taka byłaby igraszką, rzekł Janusz, dla mnie to najurozystsza chwila życia, to wesele dusz naszych... na wieczność...

— Ja ci wierzę, odparła kobieta — i dla tego kocham ciebie że wierzyć ci mogę. Czemu? nie wiem. Czuję żeś czysty i pocziwy i szczerzy. Wiesz już o losie moim? oddają mnie temu człowiekowi którego ja nie kocham, do którego czuję wstręt niezwykły. Ale ja żyć nie będę długo, ja sobie umrę powoli. Ty pamiętaj o mnie, zbuduj mi mogiłę w swojej duszy... Nikt o mnie potem nie wspomni, ojciec mi pomnik postawi, mąż mnie wspólnie pochowa... a potem, grób zarośnie, pamięć zginie... Tak z życiem człowieka.

Westchnęła biedna.

Anieli tak żywą między sobą zajęte były rozmową, Jenny tak im wyraźnie kazała iść dalej,

że te pierwsze i ostatnie wyznania mogli i musieli przedłużyć.

— Dziś, rzekła Tilda, widząc cię smutnym, postanowiłam rzucić tych słów kilka, nie wiem pociechy czy smutku, na pożegnanie. Ktoż wie, nie spotkamy się może więcej sam na sam — nigdy... nigdy! Ale ty będziesz wiedział, będziesz wierzył, będziesz pamiętał, żem cię kochała, że kochać cię będę do śmierci.

— Tildo, zawołał nagle buntując się przeciwko losom młody człowiek, jeżeli wierzysz we mnie, jeśli ufasz sercu i szczęściu mojemu... rzuć dom ojca, oto dwie dłonie które na chleb zarobią — ojciec przebaczy, będziesz moją, będziemy z sobą.

— Nie, odpowiedziała po chwili namysłu kobieta — nie — posłuchaj mnie, kocham jak dziecko, ale jestem stara i znękana... Ja w żadną przyszłość nie wierzę, dla mnie nie ma przyszłości, przyniosłabym ci jedną chwilę szczęścia może a dużo znoju, utrapień i zgryzoty. Nie godzi się abyś ty okazał się niewdzięcznym i zdrajcą względem ojca mojego któremu winieneś wszystko, który cię przynaglał... nie godzi się nawet dla ocalenia mnie — nas!!

Ktoż wie, mówiła powoli, czy znalazłbyś we

mnie, w téj istocie uwiędłej, to czegobyś się po niej spodziewał. Jam w kolebce została otrutą, tyś mnie uleczył, ale skutek trucizny powraca, nie-wiara rodzi się znowu, śmiech szatana w uszach słyszę, nawet gdy łzę mam na oku.

Nie — nie! stokroć nie... będziesz mógł kochać umarłą, kto wie czy długo kochałbyś żywą?

I skinieniem ręki pożegnawszy go nagle odeszła jakby się dłużej lękała pozostać, dać skusić i namówić... Powróciła za chwilę uzbrojona rozważą. Janusz stał jeszcze w miejscu.

— Jak ci się podoba mój narzeczony? spytała.

— Nienawidzę go.

— Czy dla tego że mój narzeczony?

— Nie, takie wrażenie na mnie uczynił od pierwszego wejrzenia.

— Czém? spytała.

— Nie wiem, jest mi wstrętliwym, choć nie mam mu nic do zarzucenia; wedle programu dzisiejszego wieku czegoż mu brak? umie wszystko, jest stateczny, bogaty, przystojny, młody i nieposzlakowanej sławy... jest nawet miły — a nieznośny.

— A! ja się lękam, odparła Tilda, że to nawet nie jest człowiek! jest to jakaś istota w której serce nie bije; automat, ręką XIX. wieku wy-

robiony misternie, który umie co potrzeba, który jak automat jest niemylnym, ale ani płakać, ani boleć, ani użalić się, ani zrozumieć słabości i cierpienia cudzego nie potrafi. Da on sowitą jałmużnę przez uznanie jój potrzeby lub obowiązku, przez pychę lub rachubę, ale biednego nie uściśnie, nie ukocha... ale z nieszczęśliwym nie zapłacze, dla upadłego mieć nie będzie litości.

Żelazny wiek nasz ludzi swych robi z żelaza, — krają jak żelazo, a krew co ścieka po nich to tylko rdzy plamka.

— Może jesteś za 'surową, lecz... i we mnie takie on obudza przeczucia, dodał młody człowiek, ale miłość i kobieta dokazują cudów.

— Z 'sercami i z ludźmi nie z automatami, dodała Tilda... zimno mnie przechodzi gdy nań spojrzę; jest w nim coś przerażającego, w téj słodyczy, uśmiechu, w téj wiekuistój pogodzie i weselu które naturalnemi być nie mogą. Nie potrafi się rozniewać, oburzyć, zadumać... jest zawsze jeden, wiecznie martwy. Raz tylko widziałem go obruszo-  
nym, roznamiętnionym — chodziło o to że się omylić mógł on! on! on nieomylny! samo przypuszczenie było zbrodnią!

Lituj się pan nadenmą! lituj, dodała — i wy-

ciągając dłoń nieznacznie ku niemu wsunęła mu w rękę zdjęty z palca pierścionek.

— Kupiłam go umyślnie dla ciebie, rzekła, zachowaj go na pamiątkę biednej istoty która cię kochała... czarny jest, żałobny, umyślnie, jak ta milcząca, grobowa miłość nasza, której od dziś już więcej ust nawet otworzyć nie wolno.

I nie odwracając się już ku niemu odeszła powoli do domu obie Angielki ciągnąc za sobą.

W ich życiu ta chwila jasna była pierwszą i ostatnią. Widywali się codzień potem ale jak obcy sobie, tak jak dawniej witając i żegnając wzrokiem i raczej unikając siebie niż szukając. Miłość ich nic nie pragnęła nad to by cichą i ukrytą trwać mogła.

Tilda posmutniała, pobladła, przyjęła z rąk ojca narzeczonego, na tém skończyło się wszystko.

Wkrótce odbyło się wesele, było ono nadzwyczaj szumne, niesłychanie wspaniałe; ofiara poszła strojna w brylanty, atłasy i koronki na męczeństwo.

Uczta weselna kosztowała tysiące; ojciec uśmiechał się rozpromieniony że tak doskonale wydał córkę. Wszyscy wiedzieli że dał milion posagu, że drugi był przyobiecany, że narzeczony miał ich



kilka i świetną przyszłość majątkową przed sobą. Wszystkie matki, ojcowie i rówieśnice zazdrościły — mąż ten wydawał się im ideałem!

Otóż i prosty koniec nader pospolitej powieści mojej.

W parę lat potem, niedługo, spotykacie państwo tego jegomości z żoną na Aqua Sola, on zawsze szczęśliwy i spokojny, ona kaszląca i blada; on się trochę nudzi nie wiedząc aż nazajutrz co się dzieje na giełdzie paryzkiej i londyńskiej, ona posłuszna przyśpiewuje mu dla rozrywki ostatkiem głosu... smętną piosnkę Mendelssohna.

Wartoż to było opowiadać? jeszcze co pospolitszego nad tę historią powszednią, zwyczajną, oklepaną, dziecinną?

— No? a ten Janusz? spytała Włoszka.

— Janusz nosi na piersiach pierścioneł swęj pierwszęj i jednęj, i żyje mężnie a smutnie. W jednęj godzinie wyczerpał on do dna całą miłość która miała mu służyć do żywota... cóż chccie? to dziś już tylko łupina człowieka.

— Smutne to nad wyraz, odczuwała się Włoszka, ja, przyznając, spodziewałam się czegoś więcej i innego, dramatyczniejszego. Ofiara wzbudza we mnie współczucie niezmiernę. Co się tyczy męż-

czynny, dodała z uśmiechem, jestem o niego spokojną... ta łupinka się pocieszy.

— Ja wątpię, odparł Jakób, ci się pocieszają tylko którzy chcą być pocieszonymi, jemu z tym grobem w piersi dobrze.

— Prawda, dorzuciła Colomi, że to historia jakby nie naszego czasu, coś elegicznie prostego.

Jakób wstał z siedzenia, godzina była spóźniona, wszyscy goście poruszać się też zaczęli. Moskał który słowa nie wymówił przez cały wieczór sam jeden pozostał nawet nie udając że ma wyjść.

— Więc jeśli nie w Genui, to do widzenia w Warszawie, rzekła Colomi do Iwasia i Jakóba — a ktoż wie? może?...

— Czyż pewno pani jedziesz?

— Zdaje się że niezawodnie, oglądając się na towarzysza, rzekła śpiewaczka, do widzenia!... Jeszcze wyjazd nasz zresztą nie postanowiony, moglibyście być panowie grzeczni i zejść do mnie. Dobranoc.

Iwaś i Jakób pożegnawszy Włochów zeszli milczący oba do hotelu Federa naprzeciwno.

— Zdaje mi się że dziś dalszego ciągu twojej biografii nie posłyszę, rzekł Iwaś, wątpię byś na to znalazł siły... nadto cię zmęczyły wspomnienia.

— Wspomnienia... tak, ale cudze, dodał żyd ze smutnym uśmiechem.

— Wczorajszy człowiek jak często nam bywa obcym!! szepnął uparty towarzysz, ale milczę.

Zamyśleni tak nie mówiąc więcej do siebie, rozeszli się na spoczynek.

---

Gdy się nazajutrz rano Jakób obudził, z wielkiem swém podziwieniem nie zastał już w pokoju towarzysza: powiedziano mu że Iwaś wstawszy rano wyszedł do miasta. Uląkł się téj rannéj zbyt wyprawy, chociaż ją bardzo potrzebą przechadzki, kąpieli lub prostą nawet ciekawością tłumaczyć było można; przyszło mu bowiem na myśl, że ubogi chłopak może przez zbytnią drażliwość chcieć mu się wymknąć, by o własnych siłach znowu z nowemi trudnościami walczyć w dłużej drodze.

Ale małe zawiniątko Iwasia leżało przy drzwiach, czekał więc na niego trochę niespokojny ze śniadaniem. Nareszcie Iwaś powrócił.

— Chodziłem przejść się trochę, rzekł żywo ściskając rękę Jakóba, duszno mi tu było w izbie, potrzebowałem powietrza, samotności, nade wszystko ruchu. Od Marsylii idę pieszo; zahartowałem się, nagle zacząłeś mnie pieścić, to psuje, zląkłem się już bym nie zmiękł, ogarnął mną dziecinny

niepokój, potrzebowalem się znużyć. Teraz pot się ze mnie leje kroplami... jest dobrze... czuję że jestem sobą... żyję.

Jakób począł się śniać.

— Dzieciak jesteś, rzekł, z przeproszeniem, zbyt wiele wątpisz o sobie, jak inni nazbyt sobie ufają. Wiedz że masz potęgę w łonie, którą przemożesz wszystko... tą jest *wola*. Dopóki ją w sobie czujesz, zwyciężysz nią co zapragniesz przełamać, choćby samego siebie... nie lękaj się. Znam ludzi ze wszech względów znakomitych, którzy niczem nie są dla braku woli, znam i bardzo zwyczajnych, których wola energiczna postawiła wyżej niż talentem zasłużyli.

— Odgadłeś mnie, rozśmiał się Iwaś, uląłem się utraty woli, pragnąłem w małym boju z sobą przekonać się o jej sile.... Myślałem, marzyłem, pasowałem się jak Jakób twój homonym we śnie... zwyciężyłem....

Wstrzymał się nagle.

— Gdzieżeś był? spytał żyd.

— O! nie wiem doprawdy! wszędzie po trosze! w pyle gościńca, we wrzawie portowej, w ciszy Aqua Sola, a nawet pod oknami pięknej Tildy.

Jakób ostro na niego spojrzał.

— Cożeś ty tam robił?

— Sam nie wiem, znalazłem się przypadkiem. Ale wystawzę sobie co to jest potęga ciekawości, znalazłem tam moich wczorajszych dwóch Włochów, milczącego Moskala i cygana. Pokazuje się że wczorajsza historia wasza więcej ich zajęła niżeliście się spodziewali... trafiliśmy wszyscy jak się zdaje na sam odjazd z Genui owój pięknej męczennicy....

— Jak to? odjazd? z jakiegoż powodu tak przyspieszony? zmiłuj się, mów, zawołał Jakób, jeżeli co wiesz... Może wyjechali na przejażdżkę tylko, w okolice....

— Ale nie, rzekł Iwaś, projekta dłuższego pobytu w Genui, jeśli jakie były, odmienić się musiały nagle, nie wiem.... To pewna, iż Vetturino stojący przed domem z powozem, upewniał iż wyjeżdżają do Pizy i Specji... Nie sądzę bowiem, żeby albo pani sama, albo pan sam wyruszył, a z pakunku wynoszonego wnieść nie mogłem nic, ani o liczbie osób ani o ich rodzaju... Służący zaś odpowiadać mi nic nie chciał na pytania.

— Jak to? pytałeś go?

— Trochę, byłem ciekawy.

— Więc wyjechali....

— Musieli wyjechać... nie doczekałem się bo-

wiem ostatka i odejść musiałem, bo nas tam już ciekawych zbyt wielka zebrała się gromada, a przykro mi było należeć do tego tłumu gapiów.

Zamilkli oba, Jakób smutnie głowę na piersi pochylił.

— Ale, odezwał się po chwili, cóż my robimy z sobą? jakbyś sobie życzył? Mamy siedzieć czy jechać dalej? umówmy się, jestem na twe rozkazy, bo mi nie pilno, jak ci wygodniej?

— Jak to? spytał Iwaś, a cóż twoja podróż mojej się tyczy?... ja sobie idę gdy nieco spocznę, ty zrobisz co zechcesz.

— Nie rozumiemy się, rzekł żyd, daj pokój ceremoniom, rzecz umówiona, że ja cię wiozę do granicy. Srodze a niesprawiedliwie obraziłbyś mnie odmową. Daj mi rękę, pojedziemy razem i woli nie zgubim po drodze, a oszczędzi ci to życia!! trudu, który na lepszy potrafisz obrócić użytek....

— Ale...

— Żadnego ale... jedziemy! którądy wolisz?

— Jak ci się podoba, dodał Iwaś, czuję wszakże, iż miléjby ci było jechać na Specję i Pizę, a że i mnie się to uśmiecha, więc...

— Dla czegoż sądzisz?

— Szczerość za szczerość, rzekł Iwaś, dla tego



Jakób wolałby jechać ku Specji że Tilda pojechała w tę stronę, bo Janusz i Jakób są jedną osobą. Na piersiach twych odsłoniętych, z rana gdy wstawałam, widziałem na czarnej wstążce czarną żałobną obrączkę.

— I bez niej, rzekł Jakób smutnie, łatwo ci to było odgadnąć... Tak! historia to moja, wstydzicie się jej ani ona ani ja nie potrzebujemy.... Ten krewny który mi chodzić kazał do szkół, jest ojcem Tildy, powinieneś go być też poznać lub domyślić się... kiedyś opowiem ci resztę.

— A więc jedziemy do Pizy.

— Ja myślę że, jeżeli ci to miłsze, pójdziemy sobie pieszo... droga ta jest tak uroczyście piękną, że się ją niegodzi przebywać inaczej.... Oddamy pakunki na dyliżans a sami ruszymy jak dwaj wędrowni artyści.

— Dobrze, dziś wieczorem, rzekł Iwaś, mnie się coraz bardziej spieszy do kraju, tęsknica coraz gorętsza, jakieś przecucia wielkich wypadków, jakaś niecierpliwość pracy mnie ogarnia.

— Słuchaj! zawołał Jakób, przyznaj się, wy spiskujecie?

— Tak jest i inaczej być nie może, odparł Iwaś, Polska cała od lat przeszło stu spiskuje; zmusza

ją ucisk do tego, na spiskowców hoduje pokolenia niewola, w postrachach, ciemnicy, w milczeniu i grozie. Tam gdzie się życie rozwinać nie może całą swą siłą, spiski są nieuchronne, to naturalny owoc despotyzmu, to nędza która się rodzi za brudnym kołnierzem jego koszuli...

— Pojmuję to, odparł Jakób, ależ biada krajowi który wszedł na tę drogę, zwątpił on już o sobie i uznał się bezsilnym. Rozumiem tylko jeden spisek, taki jak był nasz trwający parę tysięcy lat, ten w którym my dożyliśmy epoki równouprawnienia i odrodzenia naszego; spisek nagromadzający siły, jednoczący w ciało silne i spójne. Wy i wasze spiski z gorączkowemi wybuchy, do niczego nie dojdziecie prócz do coraz boleśniejszego upadku.

— Nie mówmy o tém, zawołał Iwaś marszcząc się, wy nie macie ani tego uczucia co my dla kraju, aniście doznali tego co my cierpiemy....

— Przepraszam cię, odezwał się żyd, jeśli dla kogo to dla nas kraj ten co nam dał przytułek, w którym mimo chwilowych prześladowań urosliśmy liczbą i pracą; jest naszą drugą przybraną ojczyzną. Jeśli nią nie jest jeszcze dla wszystkich, to być powinien i będzie. Ja się czuję przynajmniej zarówno Izraelitą jak Polakiem.

— Tak, ale ludzi jak ty, bez pochlebstwa — chociaż od dni kilku dopiero się znamy, nie ma i nie może być wielu. W ogóle zarzucić wam można, że nie bardzo przywiązaliście się do tego kraju w którym dosyć, jak na owe wieki, przeżyliście czas długi szczęśliwie i swobodnie, który was karmił, hodował, bogacił... i uznał za dzieci swoje.

— Powoli, odparł Jakób, rozpatrz się w historii bezstronniej; fanatyzm religijny, prawda że wspólny nam z innemi narody i buta szlachecka... długo stały na przeszkodzie uznaniu żydów za obywateli kraju. Winni téż byli i żydzi, że języka i obyczaju przyswoić sobie nie starali się, że się odosobniali, stanowiąc *status in statu*, naród w narodzie, że szczerze nie pracowali na obywatelstwo, które się poświęceniem i krwią zdobywa.

Winy są równe z obu stron, i z obu stron szczerze przebaczenie i zapomnienie przeszłości wyjść powinno. Wiek inny, oświata rozpowszechniona, idee ludzkie nam wspólne, wszystko nas teraz zbliżyć i przejednać się zmusza. Wyciągamy dłonie... nie odpychajcie ich...

— My! młode pokolenie! zawołał Iwaś, mybyśmy mogli was odpychać!! Możesz to przypuścić? Znajdą się przesady, wstępy, resztki starych

niedogniłych wyobrażeń, pozostałości dawnych wieków... ale ogół... szczerze wam dłoni wyciągnie. Bądźcież braćmi, ale bądźcie nimi w duchu nie słowie, w czynie a nie pozorem tylko; bądźcie nimi nie tylko w chwili powodzenia, ale w pracy i boleści....

Jakób zamilkł, ale rękę wyciągnął.

— Na dzisiaj dosyć, rzekł, rozumiemy się i zgodzimy łatwo, my, młodzi. Moi rówieśnicy, młodzież izraelska tak czuje i myśli jak ja, ale jak u was tak u nas są uprzedzenia, są stare gniewy, są chowane przez wieki brzydkie zemsty pragnienia... są... ludzie. Bądźmy pobłażający, cierpliwi i nie dajmy się unieść namiętnościom tchnącym nienawiścią... Miłość tylko godzi, łączy i jedna, o nią się starajmy, pracujmy na nią.

Ale o tém nieraz jeszcze, dodał Jakób, mówić nam przyjdzie, teraz w drogę!... Jedziemy czy idziemy?

— Idziemy pieszo! do Pizy!

— Zgoda!

— Azatém pakować!

W téjże chwili poczęły się przygotowania do podróży; około południa w strojach pieszych wędrowców poszli pożegnać Lucją Colomi. Tu także zna-

leżli się od progu wśród kataklyzmu tłumoków, pak i skrzynek; Moskał układał papiery i książki swoje, Włoszka kończyła rachunki.

— Do widzenia! zawołano od progu.

— Do widzenia! na tym lub na tamtym świecie.

— *Adio! adio!*

W chwili gdy się co najspieszniej cofali aby nie stać się natrętными, piękna Włoszka skinęła na Iwasia i odciągnęła go na stronę.

— Wracasz więc pan do Warszawy, rzekła po cichu, pamiętaj pan o com prosiła, spytaj tam o mnie... ja może będę się tam potrzebowała widzieć z panem... dziś mu nie mogę powiedzieć nic więcej. Lucia Colomi! zapamiętaj pan nazwisko! w teatrze wiedzieć o mnie powinni...

Iwaś spojrzał na nią dziwnie, badająco.

— A towarzyszy pani? zapytał.

— Kto? Gromów?

— Tak jest.

— To dawny dobry mój przyjaciel, rzekła, ale nie wiem, czy w tej podróży będzie mi mógł towarzyszyć... to zależy... Wątpię... nie ma nic pewnego... A więc, dokończyła żywo, przypominam panu, że nie ja jemu, ale pan mnie możesz

być potrzebnym, rachuję więc na was... Niech to sercu jego będzie pobudką.

— Ale na cóż ja się komu przydać mogę! zawołał Iwaś ruszając ramionami.

O! nie badajże mnie pan, proszę, to moja rzecz... do widzenia.

Podąła mu rękę przez tłumok.

— Do widzenia.

Zszedłszy na placyk przed dwoma hotelami i wracając do Federa, otarli się prawie o cygana, który, jak zwykle, paląc cygaro poziewał i przypatrywał się bardzo uważnie osłom ogromne beczki dźwigającym do portu.

— No! cóż się tam z wami dzieje? zapytał.

— Dziś jeszcze pieszo ruszamy do Pizy...

— Wychodzicie? pieszo?

— Tak jest.

— Zabawne dziwactwo, kiedy jechać byście mogli wygodnie. Ale dobrze to mieć choćby dziwactwa, ja już do nich nie czuję się zdolnym... Gdyby jeszcze ta ładna Włoszka dała się namówić, a poszła ze mną na piechotę... no, to! możebym się namyślił... ale... nie pójdzie! Moskał trzyma ją w niewoli.

— Żal mi jój, odezwał się z boku Francuz

którego zrazu nie postrzegli, zrobiła bardzo zły wybór... Nie wiecie też czy zostają? jadą? dokąd?

— Zdaje się że jadą; dokąd? nie wiem doprawdy, rzekł Jakób.

— Nie wiecie? uaprawdę?

— Nie wiem; zapewne po Włoszech...

— Podróż najoszczędniejsza — dodał Duńczyk zfrancuziały — może ją dla tego Moskał wybrał... można ją odbywać, jakem się przekonał, nawet nie nie jedząc, tyle się napołyka pyłu na gościńcu. Ja także pojadę, ale chyba morzem, wolę już nudności okrętowe... niż niestrawność z napchania się gliną... Ale wprzód muszę piękną Colomi pożegnać, nie tracę nadziei że ją na Moskału zdobędę... trzeba zawsze szczęścia próbować.

— On to nazywa szczęściem! zawołał cygan, powoli szukając nowego cygara... śmieszny! nie wie że takich Lucii we Włoszech, bez żadnego szczęścia, można dostać ile się podoba... na towarzyszki podróży...

— Takich? podchwycił Iwaś... to wątpię, tak miłych, dowcipnych i dobrych istot jak mi się ona wydaje, nie ma nigdzie wiele...

— A! prawda! oblała was wodą! rozśmiał się cygan, zawsze to dowodzi istotnie serce niezgor-



sze... innaby była krzyknęła ze strachu i zemdląla sama jeszcze — z gracyą... Co się tyczy dowcipu, na co w kobiecie dowcip? żeby gryzła! dość ma zębów i bez tego... Ale czekajcie no, rzekł do Jakóba — czekajcie, przyjmiecie mnie do towarzystwa gdybym chciał pójść z wami? he? szczerze?

Młodzi ludzie spojrzeli po sobie w milczeniu, cygan się uśmiechnął.

— Nie! nie! rzekł, nie trzeba! Stamlo Gako za stary i za nudny! a przy tem gorąco! pył... nie! nie! pojadę dyliżansem... bywajcie zdrowi...

I odszedł.

— To lepiéj! rzekł Jakób — ciężkiego byśmy byli dostali towarzysza...

Słońce się zniżało po nad morze gdy dwaj nasi podróżni opuścili Federa i drogą ku Rutta powoli pociągnęli z miasta, przebywając villami ubrane wzgórza, ogrody i niecierpliwie wyglądając widoku morza które się było na chwilę przed niemi schowało. Wkrótce też pokazało się ono wygładzone, lekko kołysząc jak szyba z opalu, cieniowana coraz odmiennych barw tysiącem.

Cudnie pięknemi są te okolice Genui, choć nieco puste, — ze swemi cyprysami, pomarańczami, winnicami i spinającą się tem wybrzeżem skalistym

drogą, która co chwila inny, coraz bardziej malowniczy widok przedstawia.

W jesieni i na wiosnę spotyka się tu roje turystów przebiegających ten gościniec sławiony nie nadaremnie ze swęj piękności, z pospiechem który im ledwie przelotne po sobie zostawia wrażenie. Rzadko kto o kiju, powolniej mija rozpatrując się baczniej te czarowne brzegi, rozmiłowawszy się w ich wdziękach; a inaczej dobrze się z nimi poznać nie można.

Podróżni nasi nie spieszyli wcale, wiedzieli że dla nich dwóch znajdzie się wszędzie miejsce na spoczynek, jakieś Albergo lub Trattoria wiejska ze swą izdebką na górze, z rybką i sałatą, z winem *del paëse* mniej więcej znośnem i na wieczór lampką rzymską, przy której spocząć miło po całodzienném strudzeniu, ale pisać i czytać dość trudno. Świece jeszcze rzadko gdzie cywilizacya wprowadziła...

Zmęczonym po drodze łatwo było wszędzie dostać parę spokojnych osiołków na których grzbiecie można choćby zadrzemać, tak łagodnie noszą, przywykłe i ludzi i delikatniejsze nad nich przewozić przedmioty.

Upał dnia już był zupełnie ustał, gdy podróżni

nasi ujrzeni przed sobą piękne ogrody pomarańczowe ubierające Nervi, stolicę wody pędzonej z kwiatów dla wszystkich spazmatycznych istot całej Europy. Rozmowa dotąd błąkała się po najróżniejszych zakątkach.

— Obiecałeś mi dalszy ciąg swój historyi, rzekł Iwaś wreszcie — i jakkolwiek wyprzedziłeś chronologiczny jój porządek wczorajszym epizodem, choć dziś bym rad posłyszeć dopełnienie. Winienes mi zasztukowanie téj próżni, której sam nie potrafię odgadnąć.

— Z wielką chęcią, dopełnię reszty mojej spowiedzi, odpowiedział Jakób, nie mam tajemnic, a największą już wczoraj zmusiliście mnie wyjawić. Zdaje mi się żeśmy się rozstali na szkole, w której ostatniej ławie, nękany przez towarzyszków, prześladowany parja, poczynałem uczyć się więcej życia niż grammatyki.

— Tak jest...

— Historia tych lat jest raczej, mówił Jakób, dziejami umysłu mojego i serca niż czem innem. Wypadków braknie lub są wagi podrzędnej, bez wpływu istotnego na życie. Szkoła nie mogła mnie nauczyć wiele, ale otwierała do nauki wrota, ukazując przez nie niezmierzone jój obszary. Jako żyd

znałem dotąd tylko moją biblią, w niej cały świat zamykał się dla mnie; teraz postrzegłem że jako człowiek muszę sobie przyswoić co ludzkość zrobiła, zdobyła, nauczyła się przez wieki. Zachwiało to nieco zrazu moją wiarę wyłączną w naród wybrany, ukazało mi go w odmiennem nieco świetle; musiałem spokornieć; ale z niepokojem w duszy, umysłem niezależniejszym, powróciłem znówu do biblii i napowrót żydem się stałem — tylko inaczej.

Pojać ci mnie, jako żyda, może być trudno, — zatrzymuję się tu, abym ci wytłumaczył że ta społeczność nasza izraelska tak długo w prześladowaniu jedna i spójna, dziś, gdy ono ustaje — dzieli się już na wiele różnych obłamów.

Żyd nie jest już dziś tem czem był dawniej, gdy wyłączenie go zmuszało być tylko sobą, żyć, myśleć, uczyć się, obracać w ciasnem kole zakreślonym mu prawami i obyczajami chrześcian nieprzyjaznych... Z tego ściśniętego gronka wyrosł przypadkiem Majmonides jaki lub Spinoza, ale ono po większej części składało się z jednolitej masy wiernych, ścisłych wyznawców starego zakonu. Tuliśmy się około arki przymierza...

Dziś żydzi swobodniejsi, mniej uciśnieni różnemi idą drogami... wielu z nich rzuca swe prawo i wiarę,

pozornie przyjmuje inną, w istocie nie ma żadnej...  
O tych naprzód mówić ci muszę.

Typem takiego żyda był właśnie opiekun mój, ojciec Tildy, któremu winienem wszystko. Wychowany sam za granicą, w społeczeństwie już zobojętniałem, stracił zawczasu poszanowanie tradycji naszych i wiary, zrzucił z siebie surową obrzędów naszych powinność a natomiast nie zostawszy chrześcianinem, stał się tym człowiekiem którego ci dał poznać; czyniącym z rachuby moralność życia, a z rozumu przewodnika jedyne na drodze.

Nie smutniejszego nad ludzi jemu podobnych. Bądź co bądź człowiek nie jest wykształconszem zwierzęciem tylko; po za nim czuć inne światy, istoty i obszary ducha; oprócz ciała ma w sobie duszę którą się łączy z bóstwem, bada, przeczuwa, wznosi się wyżej nad ziemię i dalej nad zmysłowe przestrzenie. Materyalizm i atheizm nie starczą ani społeczeństwu do życia, ani jednostce; oderwane przez nie od całości są jak kwiaty ścięte z łodygi, usychają. Odkierz im Boga, wiarę w nieśmiertelność ducha, wyższe poczucia i pragnienia, a stworzysz, zwłaszcza przy wykwinionej cywilizacji materyjalnej — coś tak poczwarnego, jak jest przyzwoity, chłodny, umarły wiek dzisiejszy; który zwycięża żywioły,

dochodzi tajemnic najskrytszych natury a nie wie już co jest złem a co dobrem i określa cnotę i występpek, rozumem lub głupotą, niezręcznością tylko lub praktycznością. Miarą dlań jest powodzenie, bóstwem siła, a *vae victis*, znowu się echem ogromnem rozlega po nad tą pustynią którą przecinają koleje i przelatuje para...

Nic smutniejszego, powtarzam, nad tych ludzi co zerwali z tradycją, ze wszelką wiarą przeszłości, z jój wspomnieniami, a rozumem idą po ścieżce interesu... do... życia i użycia. W społeczeństwie naszym i waszem postaci te nie są rzadkością, w obu one równie smutny przedstawiają fenomen.

Chrześcianin co się zaparł Chrystusa, żyd który się zaparł Mojżesza, jedną cuchną zgnielizną. Chodzące to trupy ci ludzie, których horyzont ogranicza się krótkiem życiem poświęconem jakiejś górującej w nich namiętności... Pozornie szczęśliwi w duszy są najbiedniejsi. Nasyчени prędko, przesyчени wszystkim, znudzeni kończą opęthją, głupotą lub szaleem.

Ale jeżeli gdzie to w mozaizmie, religii rozumu, jeżeli ją tak nazwać się godzi — odrzuciwszy nawet to co było jój łupiną, broniącą by owoc uszczerb-

ku nie doznał — jest tyle ile potrzeba człowiekowi, aby w sobie ducha przeżył.

Świat chrześcijański wziął z prawa Mojżeszowego tak wiele, iż mu wyższości jego bez zaparcia samego siebie zaprzeczyć nie może. Pomimo to, składając na talmud i rabbinów narosłe wiekami dziwactwa, które powierzchownie tylko sądzono; wyśmiano wszystko w judaizmie czego nie rozumiano, uczepiono się drobnostek aby go wyszydzić i ohydzić.

W każdej literaturze jest coś niby rozświecającego naukę, niby wyjaśniającego obyczaj nasz, w istocie dowodzącego że nie rozumiano obojga.

Śmiech jest łatwy, obrócono w śmiech co tylko chciano, nawet najcudniejszej poezyi kwiaty, które w innych literaturach uszłyby za arcydzieła...

— Ja nic nie znam z tych waszych poezyi, rzekł Iwaś.

— Czytałeś przecie ironiczne cytacye z talmudu nieraz, których fantazyje, na zimno rozbierając, znajdowano je tak niedorzecznemi?

— Nie czytałem nic prawie.

— Byłżebyś ciekawy? spytał Jakób.

— Bardzo.

— Wiele ustępów i podań umiem na pamięć,



rzekł żyd, weźmiemy na przykład legendy i opisy raju.

— Najchętniej, rękę ci że szyderskiego wcale nie mam usposobienia, a słucham z wielkiem zajęciem.

— Wierzę w siłę młodości twój, odpowiedział Jakób, ona cię broni od ironii i wyschnięcia. Słuchaj więc może najstarszych poematów o raju. W niejednym objawieniu średniowiecznym znajdziesz coś podobnego.

Wasz Dant spisał także tradycje chrześcijańskie i utkał z nich tę cudowną całość, którą ja żyd podziwiam z wami zarówno.

Weźmy na przykład opis raju z księgi Jalkut (7. a.).

„Dwoje olbrzymich wrót z dyamentu, których tysiące aniołów promiennych strzeże... prowadzą do Edenu...

„A gdy się ukaże sprawiedliwy, aniołowie występują przeciwko niemu i ściągają zeń szatę jego śmiertelną a wkładają suknię tkaną z najpowiewniejszego eteru i zdobią skroń jego koronami dwiema, jedną z kosztownych kamieni, drugą z najczystszej złota, i kładą mu w ręce osiem gałęzi myrtowych, a lecą przed nim i śpiewają:

„Wnijdź o duszo szczęśliwa i pożywaj w pokoju chleb na któryś zasłużyła.

„I towarzyszą mu ztąd do miejsca drugiego, oblanego wody świeżemi, które tysiące róż i myrtów otacza.

„Każdy ze sprawiedliwych siedzi tu pod świetnym baldachymem, przy którym płyną cztery strumienie mleka, wina, wonności (korzeni) i miodu, a po nad nim unosi się złota, kamieniami wysadzana latorośl winna, a wewnątrz świeci stół cały od złota, a seciny aniołów otaczają go i śpiewają chwałę jego: „Używaj w pokoju miodu świętego prawa, któremu wiernym pozostałeś.“

„Tu się spełnia i odnawia w nieustannych przemianach żywot sprawiedliwego, z jednego wieku w drugi; teraz przywdziewa on całą kwitnącą młodość i miesza się z młodzieżą w gmachach dla niej przeznaczonych; potem dojrzewający wiek obleka i idzie z dojrzałymi razem; nareszcie bierze na się surową i poważną starość i pociechy wieku sędziwego zażywa...“

„Wzdłuż Edenu zielenią się miliony milionów drzew, z których najmniejsze kosztowniejszém jest niż najdroższa roślina ziemi; w każdym kątku aniołów chóry śpiewają chwałę najśłodszeimi głosy; a

w pośrodku wznosi się drzewo żywota, szeroko rozpościerając ramiona... Owoce jego mają smak i zapach wszelkich owoców tysiąca...

„Nad niem wzlataje siedem obłoków najczystszego eteru, lekki powiew wiatru je porusza i woń jego szeroko roznosi...”

„A w cieniu gałęzi siedzą mędrcomie prawa świętego, każdy pod baldachymy dwiema, pod jednym z gwiazd, pod drugim ze słońc, a między niemi rozpościera się zasłona przejrzystego eteru.

„Innych rokoszy Edenu, nigdy duch ludzki pojąć nie jest zdolnym.

Posłuchaj jeszcze, mówił dalej Jakób, podań o raju (Pirke Eleasar) i legend hebrajskich, najmniej znanych ze wszystkich może, a zajmujących nawet dla was, gdy je ze średniowiecznymi porównać zechcecie.

Raj stworzony był przez Boga przed wieki wedle jednych, wedle drugich w dniu trzecim stworzenia razem z drzewy i roślinami. Piekło go poprzedziło bo stworzone zostało dnia drugiego, niektórzy rabbini przypuszczają dwa raje; raj niebieski i raj ziemski. Rozmaitemi imionami w księgach starych mianuje się ten przybytek szczęścia, który obrachowany na mile dzieli się na różne czę-

ści, jak w Dantem są też różne niebios, czyśca i piekła strefy.

Różne też drogi ze stron wielu wiodą do niego, jedna z nich główna poczyną się w ziemi świętój od Beth Szolan. W siedmiu przybytkach zamieszkuja tu dusze błogosławionych.

W jednej z ksiąg naszych jest poetyczna legenda o śmierci pobożnego Rabbi Josua, która ma związek z pojęciami o raju naszych religijnych wieszczów.

Gdy nadeszła godzina śmierci Rabbi Josua ben Levi, Bóg wysłał doń anioła z rozkazem by mu przed zgonem dozwolił spełnić, cokolwiek zapragnie. I przyszedł anioł do pobożnego a rzekł mu: Czas twojego zgonu nadszedł, alem ja tu zesłany abym spełnił rozkazy twoje. Rabbi odrzekł na to że pragnie aby mu miejsce przeznaczone dlań w raju ukazał. I poszli razem aż do opasania raju, a że Rabbi lękał się wysłańca Bożego, ażeby odjąć obawę anioł oddał mu miecz który niósł w rękę.

Wstąpiwszy na mur z Josuą, anioł pokazał miejsce dlań przeznaczone, a pobożny lękając się boleści zgonu, uskoczył przez mur, ażeby skonańia uniknąć.

Anioł śmierci, który olbrzymem jest, pochwyci-

cił wszakże uciekającego za kraj szaty i chciał zmusić do powrotu, ale Rabbi zaklął się na imie Boga tajemne że nie powróci na ziemię.

Naówczas powstał aniołowie inni i skarżyli przed Bogiem na Josuę, iż przemocą odzierał miejsce swe w raju; a Bóg rzekł:

— Jeśli mu dowiedziecie że kiedykolwiek w życiu przysięgę naruszył, niech będzie powróconym, jeśli nie, zostanie w raju.

A gdy się nań nic nie znalazło, ben Levi w raju zostawion, miecz tylko anioła śmierci powrócić musiał, wiążąc go przysięgą by się okrutnie w godzinie zgonu z ludźmi nie obchodził.

I szedł ben Levi poprzedzon przez proroka Eliasza wołającego:

— Czyńcie miejsce synowi Levi.

Gdy się Malach hammoves (anioł śmierci) żalił na krzywdę swą przed pobożnym Rabbanem Gamaljelem, ten mu rzekł:

— Dobrze uczynił, ale powiedzcie mu odemnie aby raj cały przejrzał i piekło widział całe, a co ujrzy doniósł mi. Szczególniej czy z obcych narodów są jacy w raju i czy synowie Izraela znajdują się w piekle?

Szedł tedy Ben Levi obchodząc raj, a znalazł

go podzielonym na siedem gmachów, z których każdy sto dwadzieścia tysięcy mil długi był i szeroki. Mury pierwszego były z kryształu a belki z drzewa cedrowego, mieszkańcami jego nawróceni, a starszym nad nimi prorok Obadjah. Nie chciano wpuścić do gmachu Josuę, ale prorok mu pozwolenie wyjednał.

W drugim gmachu mury były ze srebra a belki z cedrowego drzewa; mieszkali w nim ci co pokutę uczynili, a wodzem ich był król Manasse. W trzecim przybytku ze srebra i złota znalazł Rabbi patryarchów Abrahama, Izaaka i Jakóba, ze wszystkimi Izraelitami, którzy wyszli z Egiptu i w ciągu czteroletniej podróży umarli. Tu byli także Dawid, Salomon i wszyscy inni królowie z rodu Judy, oprócz Manasse i synowie Dawidowi z wyjątkiem Absalona. Wodzami ich byli Mojżesz i Aaron. Tu Rabbi znalazł zdziwiony między syny Dawidowymi Gileaba. Pałace te pełne były najwspanialszych naczyń od złota i srebra, drogich kamieni, wonności, olejów i balsamów.

Komnaty zastawione były sprzętami pysznemi, oświecone świecznikami ze złota, pereł i drogich kamieni. Spytał Rabbi króla Dawida, dla kogo to wszystko zgotowanem było i otrzymał odpowiedź:

— Dla dzieci człowieczych.

— Czy do nich liczą się i synowie Ezawa? spytał Ben Levi.

— Nie, odrzekł Dawid, Bóg cnotliwych z między nich nagradza na ziemi, ale w tym świecie idą do otchłani. Izraelici zaś nawet grzeszni, gdy za grzechy swe odpokutowali, stają się dziedzicami tych wspaniałości, albowiem mówi Mojżesz iż Bóg z przed oblicza swego zmiecie tych co go nie miłowali.

W czwartym gmachu znalazł Josua całkiem sprawiedliwych, którzy nigdy nie grzeszyli. Rabbi nie opisuje pałaców ani przywodzi imion tych których tu zastał, woła tylko:

— I było tu tak pięknie jako piękne wydawały się stopy Adama świecące nakształt dwóch słońc.

Belki komnat były z drzewa oliwnego, oznaczając iż życie sprawiedliwych na ziemi goryczą przepełnione jest jako drzewo oliwne.

Mieszkańców w części téj było niewielu.

Piąty gmach był z najczystszej złota, kryształem, srebrem i dyamentami sadzony, a woń jego z najdroższych balsamów Libanu, a posadzki z najkosztowniejszych kobierców, ze złota, srebra i purpury tkanych, które Ewa z aniołami przędła



i szyla. Tu mieszkali tylko dwaj, Messjasz syn Dawidów i prorok Eliasz. Tu znajdował się osobny przybytek Afirjon z drzewa cedrów Libanu zbudowany, wyłożony kamieniem drogim, w którym Messjasz w odosobnieniu opłakiwał dni niewoli Izraela, a Eliasz pocieszał go, głowę jego podnosząc z ziemi i składając na swém łonie.

Tu przychodzili doń w poniedziałki, czwartki, sabbat i piątek, Mojżesz, Aaron, Dawid, Salomon i królowie pokoleń obu, pocieszając i łagodząc boleść jego. We środę przybywali Korah, Dathan i Abiram z Absalonem, nalegając i pytając: kiedy wszystkiemu koniec będzie? kiedy powstaną z grobów umarli? a Messjasz odpędzał ich słowy przykremi.

— Nie jestże to poemat wschodni? nie czujeszże w tém pracującej wyobraźni znękanego narodu, który buduje za światem gmachy złote, aby w nich roił szczęście z którego został wydziedziczony na ziemi? mówił Jakób dalej.

W tém wszystkim jest niezmierna boleść i wiara potężna oczekująca wieki na godzinę odkupienia Izraela. Ludzie płosili naśmiewali się z tych marzeń, ale zarówno śmiaćby się można i z Danta rozmiarzającego swe piekło i niebiosą.

Piekło ksiąg talmudycznych, jest koniecznym dopełnieniem tego obrazu. W pojęciach o niem znajduje się wiele wspólnych bo jednoczesnych z chrześcijańskimi. Wedle księgi Niszmass Chaijm dzieli je od raju przestrzeń nader małą, niektórzy mówią ściana tylko cienka, jak w świecie cnotę od upadku przedziela często jedna chwila. Z piekła jak z raju wypływa rzeka... ale ta jest gorąca, gdy rajska jest chłodną.

Troje wrót wiodą do piekła, jedno od morza, drugie od pustyni, trzecie z zamieszkanego świata.

Pięcioro ogni rodzajów ma piekło, wszystko pożerający, pochłaniający, niszczący, niepożerający i niechłonący i ogień który sam ogień pożera... Piekło jest sześćdziesiąt razy większe niż ziemia. Tu stoją pałace rządzących krajem podziemnym, a jest ich trzech pod wodzą głównego, którego imię jest Dumah. Posługaczami ich niezliczona moc skorpionów i węzów. Tu w komnatach zamknięci cierpią ci, którzy księgi święte obracali w szyderstwo, pogardzali duchownymi, źle obchodzili się z ludźmi i nie modlili w świątyni.

Krzyk i wrzask męczących i męczonych unosi się po nad gmachami. Dwaj szatani Gimgums i Tassurinia, zbierają po świecie jeden mowy próżne

które ludzie wiodą za życia, drugi rozbitych naczyn skorupy, które ludzie tłuką w gniewie. Rabbi Simon wymienia jeszcze trzeciego szatana imieniem Sazsaris, który sam lub przez posługaczów swych ludzi do grzechu kusi.

Wódz szatanów Dumah mieszka ze swymi podwładnymi w téj części piekieł, która sie zowie Bor, ma tu budowania różne. W jedném z nich, Szaches, płonie wielki ogień, a mimo to panuje ciemność i nieczystość. Tu wiedzie wrót troje; w jednych z nich stoi szatan Arszerija i z milionami posługaczów ich pilnuje; u drugich Tuskifa, a obok niego Kos Hattarelah z puhaem w którym jest napój gorzki; tego anioł śmierci używa dla ludzi na zgon przeznaczonych. U trzecich wrót stoi Sannagdiel. Każdy prawie rodzaj grzeszników w osobném kole pod dozorem szatana, jak w piekle Danta.

W drugim obwodzie piekieł, który się zowie Dumah, jak sam wódz, ciemniej jest jeszcze. Wiedzie do niego wrót czworo, a każdymi inni wchodzi grzesznicy; Talmud zowie po imieniu szatanów dozorców każdego okręgu i ich zajęcia opisuje. Ostatni z nich jest Sachsicha siejący niezgodę. Tu mieszczą się rabbini dumni, faleszni wykładacze pi-

sma, lichwiarze, kłamcy, ci co się śmieją czasu modlitwy, ci co nie odpowiadają amen.

W okręgu Tit hajovem (który odpowiada Dantejskiemu opisanemu w końcu XVIII. pieśni piekła) zamknięci są ci, co zgrzeszyli przeciwko wierze; tu męczą krzywoprzysięców, tych co biednymi i ubogimi gardzą, sędziów niesprawiedliwych.

W okręgu Szeol jedno jest wnijście tylko i jeden strażnik Ebah, który ludzi do wojen i walk kusi, podwładni jego są podżegaczami boju i mężobójstwa; tu zamknięci są zdrajcy i ci co w zmarłych wstanie nie wierzą.

W Zel wówes znowu jest wrót czworo i wielka liczba szatanów złośliwych, którzy wiedą ludzi do najdzikszych zbrodni i okrucieństw.

Naostatek w Erez Tachlin, najgłębszém piekle z którego nie ma wybawienia, dręczeni są ci, których grzechy żadną męczarnią okupione być nie mogą. Czworo wrót zwróconych na cztery świata strony, wiedą do tego okręgu. Tu zamknięci są ci co nie tylko upadli sami ale drugich do upadku wiedli, ci o których mówi Izajasz prorok, że robak ich nie umiera, a ogień nie gaśnie.... Ci płoną trojakim ogniem czerwonym, zielonym i niebieskim, a studzą się lodem i śniegiem, by znowu byli

paleni i gotowani. Tu ściekają wszelkie brudy i nieczystości z całych piekieł i jad owego węża staro-ego który Ewę kusił w raju. Tu w trzechset kryjówek zamknięci są obcych narodów królowie i panujący, którym losu ulżono za to, że nie prześladowali Izraela. Ci, choć w piekle są, nie cierpią bólesci żadnych, i promień święty nawet im przyświeca. Inni po trzykroć są męczeni na każdy dzień przez anioła, aż dopóki wiary Izraela nie wyznają.

Ten sam Josua ben Levi poeta, który opisał niebo, dał téż obraz piekieł i jego męczarni, ale mógłże co innego wynysleć nad to, co w średnich wiekach pówtarzało się wszędzie o piekielnych otchłaniach?

Rozszerzyłem się nad tém, rzekł Jakób, abym ci dowiódł że nie ma nic śmiesznego w tych wi-  
dziadłach rozgorączkowanej wyobraźni, chyba dla ludzi płochych; nauka o niebie, o piekle, o zmar-  
twychwstaniu, o czyścu, o pokucie za grzechy, dzi-  
wnie się zbliża do chrześcijańskiej.

Podobieństw tych znajdzie się bardzo wiele u-  
derzających; charakter nauki, nawet jój zbłąkania  
nie nam tylko są właściwe, chociaż na nich także  
piętno swe wycisnęła długa niewola.

Czuć ją wszędzie, w wierze, podaniach, w obrzędach, w życiu naszym całym. Dla tego nie godzi się nam wyrzucać wielu obłądów, które są raczej jej dziełem, niż naszym; męczeństwo tysiącokrotnie odbić się musiało we wszystkiém, czego dosięgło.

W tym zbiorze talmudycznym tak wyśmiewanym i pogardzanym, nawet przez wielu płochych Izraelitów, są rzeczy wielkie i głębokie obok niezrozumiałych i śmiesznych; są pełne znaczenia przy pozornie niedorzecznych, jest to stós szczątków w którym jednak z pochodnią rozumu idący badacz klejnoty zbiera i skarby. Dla ogólnych dziejów umysłu ludzkiego, talmud prawie nieuknięty dotąd, dostarczyłby obfitego materiału. Po większej części są to rozmowy duchownych, ich spory i zdania w rzeczach wiary, legendy, powieści, opisy z różnego czasu, językiem nawet różne wedle epoki z której pochodzą; z Jeruzalem, z Pumbedith'a, Naharda, Sura, Lud i Alexandryi. Silono się aby z tego materiałów ogromu jedną spójną i całą systematyczną wyciągnąć naukę; dokonał próby szczęśliwie Majmonides, chociaż księga jego szanowana, nie przez wszystkich uznana i przyjęta została.

Umysł czysty i zdrowy ze wszelkiego pokarmu

czerpać umie zdrowie i siły, gdy dla ślepych a płochych ludzi nie ma czego by nie wyśmieli, czémby nie rozumiejąc, nie wzgardzili. Czysta nauka Mojżeszowa, w której tkwi Bóg jeden, nieśmiertelny, wszechmocny, duszy wiekuistość, życie pozaświatowe, niezłomność prawa Bożego w życiu, w cnocie i występku mieszczącego nasiona nagrody i kary i braterstwo ludzi wszystkich... wykwita z tego podścieliska i gruzów wiekowych widomie, dla poświęconych czystych oczu człowieka nieuprzedzonego. . . .

Pomiędzy nami, jak pomiędzy wami, mówił dalej Jakób, są ludzie wszelakiej natury i charakterów: ci którzy potrzebują wiary i czują prawa moralne i tacy co w zaślepieniu i pysze w nic wierzyć nie chcą, ci co w religii czyste oddzielają dla siebie na pokarm ziarno i fanatycy krótkowidzący co się wiążą do litery, nie mogąc odkryć w niej ducha. . . .

Spółeczność nasza rozdzieloną jest więc teraz bardziej niż kiedykolwiek na różne ludzi rodzaje, na żydów takich jakimi ich ucisk i niewola uczyniły, ślepych talmudu zwolenników czczących Rabbi Ekibę, Eliezera i Jozuę na równi z samym Mojżeszem... (są to starzy żydzi) na tych co żydami



będąc są nimi *jak ja*, dodał Jakób, czerpią w Mojżeszowych księgach czystą naukę starego zakonu, szanując narodowe tradycje... w ostatku na liczny szereg tych żydów z imienia, co żadnej wiary nie mają... dzieci wieku.

Filozofie i racjonalizm XIX. wieku liczbę ostatnich niezmiernie pomnożyły; można powiedzieć że większość społeczności naszej żadnej nie wyznaje wiary prócz ateizmu i pozytywizmu nie starczącego człowiekowi.

Nie mówię naostatek o tych co pozornie przyjęli chrześcijaństwo, bo nimi pogardzam, ani o tych co apostazyą okupili sobie wygodniejszy byt i swobodniejsze stanowisko w świecie.

Rozumiem ja nawrócenie jako światło z góry; szanuję tych co dla prawdy poczutą głęboko, uznaną szczerze, poświęcili narodowość, rodzinę, tradycje, wszystkie węzły łączące ich z dawnym swoim światem... skłaniam głowę przed nimi, ale nie mam imienia dla frymarczących wiarą, zarówno żydów i chrześcian... Niżej już upaść nie można, jak sprzedając swojego Boga za kawałek chleba...

Wyższe społeczeństwo ukształcone europejsko-izraelskie składa się przeważnie z żydów, którzy

imieniem tylko są już nimi; zbyt chłodni racjonalści aby chrześcijaństwo przyjąć mogli, zbyt rozumni by im starczyło to, wedle nich, zbutwiałe prawo możeszowe, dla barbarzyńskiego utworzone narodu, są ciekawą próbką ludzi nie mających zasad żadnych, prócz tych które stawi dobrze zrozumiany interes. Przy największej ogładzie, nauce, świetle pozorném, społeczność ta jest jak lód zimna i martwa. Zapiera się ona tradycyi wszelkich, nie ma przeszłości, wstyd ję tego żydowstwa, którem inni się chlubią; nie widzi nic nadal, życie dla niej odarte jest ze wszystkiego co stanowi jego poezyą, opromienienie, uczucie; ogranicza się zwierzęcemi funkcyami przyzwoicie ponazywanemi i zaspokajaniem rozumnie. Można sobie wyobrazić czém jest człowiek w takiej społeczności dla drugiego człowieka?? — tylko narzędziem.

Interes i rachuba rządzi wszystkiém, a co dla obojga jest zerem, pozostaje nicością w sferze moralnych obowiązków. Odpada więc połowa świata jako całkiem dla tych ludzi obojętna.

Pojmujesz z tego czém dla nich jest naprzykład... kobieta, i czém się staje niewiasta w takim społeczeństwie. Nie śmie ona ani potrafi być Izraelitką starego zakonu, niewiastą pierwszych

wieków; ani talmudyczną umiłowaną służebnicą, ani uidealizowaną istotą jaką ją stworzyło chrześcijaństwo — będzie ładną lalką, którą się ludzie bawią, odrzucają, lekceważą, nasycając płochą namiętność lub próżność.

W tych zobojętniałych ludziach bez wiary odmalowałem ci ojca Tildy i jego rodzinę. Był to człowiek uczciwy przez dobrze zrozumiany interes własny, ale nie miłujący cnoty, zimny a cielesnie namiętny, intelligencyi potężnej a niechący widzieć że są rzeczy które się ani obrachować nie dają, ani dotknąć... a przecież istnieją i tworzą niewidzialną sieć oplatającą życie.

Ja przez moje wychowanie żydowskie naprzód, potem europejskie i ludzkie stałem się innym, nowém czémś dla siebie i nowém dla moich współbraci; jestem żydem szanującym tradycyę a nie przesadnym, w głębi serca zachowałem uczucie i wiarę jako najdroższy skarb, ale nie odpychając światła rozumu i prawa postępu, nie wyłączając się z ogółu ludzkości. Godzi się to we mnie i daje mi spokój duszy zupełny.

Gdy skończywszy nauki powołany zostałem przez ojca Tildy, opiekuna mojego do Warszawy, nie miałem jeszcze wyobrażenia najmniejszego o stanie na-

szego społeczeństwa. Na wsi spotykałem tylko dwa żydów rodzaje; starych a wiernych prawu aż do najmniejszych jego drobnostek i niezrozumiałych dziś lub zabobonnych przepisów — i tych którzy tylko krwią byli braćmi naszymi, a nie obyczajem i duchem.

Przyznaję się żem z ciekawością wielką zbliżał się do stolicy królestwa; niespokojny o przyszłość moją, nie mając najmniejszego wyobrażenia tego świata w który wniknąć miałem. Żydzi na prowincjach żyli i żyją całkiem jeszcze oddzieleni od chrześcian, tu spotkać ich miałem poraz pierwszy jeśli nie z prawa, to z obyczaju wieku złanych i połączonych z chrześcianami. Pierwszych dni po przybyciu mojem, wyznaję, nic jeszcze, z tego co mnie otaczało, zrozumieć nie mogłem. — Spotykałem żydów którzy już żydami nie byli; innych co się milczkiem zapierali pochodzenia które stało wypisane na ich czole... niektórych ponuro milczących, niezrozumiałych... większość prawie ukrywającą się z wiarą swoją choć jeszcze jój wierną... Widozkiem było na pierwszy rzut oka że się tu zażarta toczyła walka... Liczba, znaczenie, pieniądz, wykształcenie Izraelitów stawily ich już na stanowisku takim, że się praw i uznania swego obywa-

telstwa domagać musieli. Stara szlachta, piastunowie tradycyi narodowej źle zrozumianej, grzecznie, sztywno, zimno, nieznacznie odtrącali tych których zawsze jeszcze liczyli za przybyszów. W obu obozach nienawiść rosła i niechęć, położenie było niejasne, fałszywe; choć stosunki codzienne zbliżały, choć potrzeby łączyły, choć interes chwilowo przejednywał; wspomnienia, przesady, wiara, dzieliły jeszcze. Tego com tu znalazł, w co wpadłem, na wsi się nawet domyślać się nie było podobna; w przeciągu dni kilku uczułem że bądź co bądź, w duchu wieku i sprawiedliwości zwycięstwo być musi po naszej stronie. Opór nietylko był daremny, ale spieszny i nie logiczny. Ci co w nim trwali, sami widzieli że nie wytrwają.

Ojciec Tildy miał prawo pochlubić się swym wychowawcą, wprowadził mnie więc w towarzystwo swoje; miałem oprócz tego licznych krewnych w stolicy, w parę więc dni po przybyciu mojem, mnóstwo już porobiłem różnorodnych znajomości.

Zdumiewałem się na każdym kroku, że nie po wiem, gorszyłem; niemal wszędzie i u wszystkich żydów znalazłem jedno uczucie niepojęte dla mnie, jakiś osobliwszy wstyd swojego pochodzenia, milczące lub głośne nawet zapieranie się żydowstwa.

Po domach bogatszych Izraelitów nie było śladu dawniej wiary i tradycji, stroje dziadowskie znikły, obrzędy nie były zachowywane, ukrywano się z Sobotą; obok tego żydzi ostrzejszej reguły i żydzi ochrzczeni, żydzi nie mający żadnego wyznania, lub należący nominalnie tylko do jakiejś gminy religijnej — składali osobliwszą mozaikę. Żył to w zgodzie niewytłumaczonej chyba całkowitym sceptycyzmem i indferentyzmem. W głębi jednak tej mieszaniny wrzał jakiś niepokój, fermentowały zarody walki, oznajmujące żeśmy przyszedli do sił która ją czyniła możebną.

Znalazłem stolicę przepełnioną współbraćmi moimi, nawet tam gdzie ani nazwiska ani wyznanie przypuszczać ich nie dozwalały; — spotykałem się z nimi na każdym kroku, ale w obec nich, już nieco nauczony doświadczeniem, musiałem być milczącym, co chwila uderzając się o zdania i wyobrażenia rażące mnie, z którymi przejednać się nie mogłem. Szanując opiekuna mojego, znajdowałem w nim pierwszym najboleśniejście dla mnie zjawisko; nie mogłem go kochać ani się doń przywiązać.

Musiałbym ci przedstawić wybitniejsze typy tej społeczności, aby ci ją dać poznać; — ogólnikami ona określić się nie daje. W ogóle to na co pa-



trzałem raziło mnie i zasmucało; byliśmy w widocznym postępie, na drodze do potęgi, do uznania, ale już nie sobą; rozbici, zapierający się siebie, rozproszeni, osłabli; a co gorzej i dla kraju dość obojętni i do związku szczerego z nim nie gotowi. W objawach patryotyzmu więcej było rachuby niż uczucia, ostentacyi niż miłości, pychy niż zrozumienia obowiązków. Prawie przestaliśmy być żydami a nie umieliśmy Polakami zostać, co było obowiązkiem; — w niepewności, na rozdrożu, szliśmy bez jasnego określenia powinności, celu, środków.

W młodzieży rozwijało się uczucie, u starych królował interes, niedowierzający, bojaźliwy, rachujący na półśrodki, na zręcznostki, na wypotrzebowanie słabości ludzi i słabości chwili... Oburzałem się w duchu nie dostrzegając w nas tego szlachetnego popędu, jaki w starym narodzie kapłanów prawdy, widzieć pragnąłem. Ale zapomniał że ucisk i niewola uczyniły Lewitów wykretnymi spekulantami dla ocalenia głowy i spokoju. Nie myśmy tu byli najwinniejsi!!

Chwilami zdawało mi się że jabym to wszystko dziwne, nieprzejednane, bojujące, potrafił pogodzić idąc prostą, szczerą, jasną drogą, ale na to trze-



ba było prostych, szczerych, jasnych ludzi... Tych mieliśmy mało!

Smutne to było!!

Westchnął Jakób kończąc swe opowiadanie, a ciemny wieczór zmusił ich już zatrzymać się właśnie przed gospodą która się nastreczyła.

Był to domek mały murowany u samego brzegu morza, na złomie skały wzniesiony. Znak gospody starym obyczajem wywieszony (wiecha) oznajmiał że to było *Albergo di tre corone*. Przed szeroką sklepioną bramą, w której głębi widać było nałożone ognisko, stał wóz o dwóch kołach i kilku ludzi w wypłowiałych kurtkach pozarzucanych na ramiona, w starych czapkach marynarskich. Kobieta z dziećciem u piersi siedziała pod murem zamysłona, dziewczę na pół nagie leżało u nóg jej uśpione. Fala niebieska o kilka kroków płukała wybrzeże po nad które zwieszały się winne lato-rośle, dziko porozrzucane aloesy, i sucha, pokręcona konwulsyjnie figa.

Podróźni nasi rzucili swe małe tłumoczki u drzwi i kazawszy przygotować sobie wieczerzę, poszli oddychać u brzegu na kamieniach tém powietrzem morskiem, które samo karmi i orzeźwia. U nóg ich w popłątanych krzewach latały *luciole* świecące,

a na ciemniejących niebiosach podobne im wytryskały gwiazdki jasne.

Cisza uroczysta wieczora... modlitwa ziemi znurzonej — i im zamknęła usta.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

*Emisja 46.*



Biblioteka Raczyńskich

JIK 594



JIK0594